Nr. 8. Lwów, dnia 15. sierpnia 1895. Rok XVIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Na rojstach litewskich r. 1893.

(Dokończenie.)

Pardwa, mieszkanka północy *par excellence*, intrygowała mnie zawsze niezmiernie i rad się z nią spotykałem. Nie wiem, dlaczego strzał do tej zwierzyny uważanym jest na Litwie za bardzo trudny. Co do mnie, pominąwszy, że do pardw strzelać trzeba czasami w gąszczu, między drzewami, nie uważam strzału do pardwy za trudniejszy niż do kuropatwy.

Rozbite przez nas stadko liczyło, jak twierdził Jan, do piętnastu sztuk; liczba wcale u pardw nie nadzwyczajna. Ponieważ zabiliśmy starego samca, odznaczającego się od młodych czarnem podgardlem, więc była nadzieja, że dostaniemy ich i więcej, pozbawionych troskliwości i ojcowskiej opieki. Z obyczajów pardwa zbliża się daleko więcej do kuropatwy, niż do sąsiada swego cietrzewia. Podobnie jak kuropatwa jest jednożenną i równie jak ta ostatnia, troskliwie zajmuje się liczną rodziną, której nie opuszcza, dopóki młode nie wyrosną zupełnie i nie utworzą własnego ogniska i gospodarstwa.

Lecz nie jest moim zamiarem opisywać ptaki szczegółowo. Po znakomitych opisach Taczanowskiego, byłoby to zuchwalstwem. Oddałem moje młode pardwy Janowi, noszącemu sążnistą torbę siatkową, mieszczącą w razie potrzeby całe tuziny ptaków i ruszyliśmy łańcuchem na poszukiwanie reszty stadka. Tym razem Diana wyraźnie odwróciła odemnie wdzięczne swe oblicze, bo mimo szerokiego szukania Blacka nic znaleźć nie mogłem. A jednak pardwy były, bo słyszałem rozlegające się peryodycznie strzały mych towarzyszy.

Nareszcie po długiem, długiem chodzeniu pies stanął do rozłożystego krzaka jałowcu, ścielącego się płasko po ziemi i bardzo gęstego.

Była to naturalna forteca, do której niełatwo się było dostać. Naprożno Black zachodził z różnych stron usiłując się wcisnąć do środka; splątane i najeżone ostremi igłami gałęzie kłuły go w nos i cofał się sprobowawszy. Wreszcie znudzony denerwującem oczekiwaniem wszedłem do krzaka sam, chcąc wydeptać upartego gościa.

Ledwie dobrze stanąłem na nogach w kolczastym kobiercu, kiedy za mojemi plecami wyrwała się z głośnem furkotaniem i krzykiem pardwa a za nią druga. Obrócić się

nie mogłem, bo byłem literalnie oplątany w jałowiec, sięgający mi do kolan. Wykręciłem się więc tylko połową ciała i stojąc w najniewygodniejszej świecie pozycyi strzeliłem i chybiłem z obu luf.

Przeklinając jałowiec, wygramoliłem się z krzaka i nabiwszy broń, zacząłem przetrząsać gorliwie bliskie krzaki i wrzosy, spodziewając się więcej pardw w pobliżu. Jakoż o pięćdziesiąt kroków od fatalnego miejsca siedziała i trzecia, którą zabiłem, bo poderwała się blisko i wygodnie. Dalsze poszukiwania pozostały bezowocnemi — krzaki były puste. Po ruchach psa miarkowałem, że w pobliżu nie ma nic więcej i że wszelkie dalsze szukanie byłoby próżnem. Czułem straszne zmęczenie, nogi mnie paliły, jakgdybym stąpał po rozżarzonych węglach, chciałem więc odpocząć trochę i poleżeć, czekając na towarzyszy. Odpiąłem ładownicę i wyciągnąłem się jak długi na miękkim mchu.

Wiedziałem, że braknie mi czasu wypocząć zupełnie i te, że wstając, będę więcej jeszcze zmęczony, ale nie mogłem pomimo to oprzeć się pokusie wyciągnięcia zmęczonych upałem i ruchem członków. Zapaliłem papierosa i założywszy ręce pod głowę, leżałem na wznak, lubując się odpoczynkiem i wpatrując się bezmyślnie w przeciągające mi nad głową białe obłoczki. Ze strachem odpędzałem od siebie myśl, że od naszego obozu dzielą nas jeszcze dobre trzy wiorsty, które trzeba będzie zrobić, zanim wolno mi będzie naprawdę odpocząć.

Cóż to za różnica z polowaniem w Królestwie, gdzie w podobnych chwilach miałem na zawołanie bryczkę, którą w kwandrans można było stanąć w domu, gdzie czekało wyborne łóżko i gorąca herbata! Tu liczyć mogłem jedynie na swoje siły i spodziewać się, że opuchnięte nogi doniosą mnie do szopy, gdzie znajdę swoje posłanie z siana i kieliszek wódki.

Silna bo musi być namiętność, którą okupywać trzeba takim trudem i wysiłkami, a która przecież budzi się zawsze świeża i nieugaszona. Sądzić jej, jak wszelkich ludzkich słabości, miarą zdrowego rozsądku niepodobna. Inaczej, w jakiemże świetle predstawiał by się myśliwy, który w zimny, mglisty dzień rzuca wygodny fotel i ciepły kominek poto, żeby, brodząc dzień cały po błotach i bagnach, gdzie zdrowie zawsze, a czasami życie narażać trzeba, zabić parę kaczek albo bekasów, których wartość nie opłaca nawet wystrzelanej amunicyi. Zamiast spodziewanych łupów, przynosi nieraz reumatyzm i zapalenie płuc, wieczorem wraca bez duszy od zmęczenia, a jednak nazajutrz gotów znowu rozpocząć pełen nowych sił i nigdy nie gasnącaj nadziei, bo zawsze pcha go naprzód ta sama, wiecznie gorąca żądza wrażeń i przestrzeni.

Każdy z nas nosi w sobie ukrytą mniej lub więcej głęboko chętkę nadzwyczajnych wrażeń i przygód. Czy to jest zabytek stanu pierwotnego, z czasów, w których życie zdobywać trzeba było w bezpośredniej walce z naturą, tlejący jak iskra, stłumiona popiołem cywilizacyi — czy też naturalny zwrot ludzkości ku warunkom prostszym i zdrowszym, jakie znaleźć można jedynie w zetknięciu z przyrodą? Nie wiem! Dość, że każdy najwięcej nawet zniewieściały człowiek czuje potrzebę odpoczynku na łonie tej pierwszej matki—natury. Ludzkość spostrzegła się, bodaj czy nie zapóźno, że zadługo zaniedbywano ciało, duszę jedynie pielęgnując i spieszy teraz gorączkowo naprawić błąd, który odbijać się począł srodze na naszym rozwoju fizycznym i na naszem zdrowiu. Pierwsza ruszyła w tym kierunku cywilizowana Anglia; za nią rwały więzy rutyny Francya, Niemcy i td. I odtąd mnożą się po szerokim świecie kluby i stowarzyszenia, rozwój sił i ciała mające na celu.

Wybrani tego świata podróżują po dalekich krajach, żeglują po morzu i pną się po górach; mniej szczęśliwi wiosłują i gimnastykują się, byle wyprostować zakrzepłe członki i zaczerpnąć świeżego powietrza opleśniałemi płucami. Powodzenie, jakiego doznaje wszędzie rower, ten demokratyczny sport, najdobitniej wykazuje potrzeby cywilizowanego świata. Z zapałem przyjęto nowego gościa i ludzkość zgarbiona, połamana i niezgrabna przebiera nogami, szukając ruchu i przestrzeni. Niezaprzeczenie gra tu znaczną rolę moda i chęć naśladownictwa, ale niezmierne uznanie, jakiem cieszy się kołowy sport, dowodzi, że potrzebnym był tani, łatwy sposób zbliżenia się z naturą i powietrzem, sposób codzienny i przystępny dla każdego. Nikt chyba, znając stosunki w jakich żyć trzeba w wielkich miastach, nie zaprzeczy prawdziwości tych słów, ani wielkiego znaczenia, jakie mają w naszym wieku wszelkie ćwiczenia cielesne i sporty. Bądź co bądź są one tylko bodźcem do emulacyi i zachętą, bo samą treścią jest potrzeba zdrowia i sił, które znaleść można tylko w bezpośredniem a częstem przestawaniu z przyrodą. Tam powietrze, tam słońce, tam sen i zdrowie.

Najdawniejszym, najwięcej rozpowszechnionym i lubionym sportem było po wszystkie czasy, aż w najgłębsze przedhistoryczne sięgając, myśliwstwo. Jaskiniowy nasz przodek jadł mięso i odziewał się skórą zabitych przez siebie zwierząt. Starożytni czcili polowanie w osobie jednej z najnadobniejszych bogiń, Dyany, przyznając jej najcenniejsze przymioty, wdzięk i siłę. Wreszcie chrześciaństwo wyróżniło łowiectwo, oddając je pod opiekę wyłączną jednego ze Świętych, naszego patrona, św. Huberta. Mijały wieki, zmieniały się pokolenia i obyczaje, a ludzie polowali, zawsze stawiając łowiectwo w rzędzie najprzedniejszych rozrywek, właściwych nawet królom i stanowi rycerskiemu.

Dzisiaj, choć zmieniły się czasy, choć wytrzebiono lasy i wytępiono grubszą, szlachetniejszą zwierzynę, za którą uganiali się nasi ojcowie, polowanie nie przestaje kwitnąć i po dawnemu biją żywiej serca na trąbkę w kniei albo na widok ściągającego legawca.

Od każdego sportu wymagamy wogóle ruchu i pewnej ilości wrażeń. Sport, w którym ruch jest jednostajnym, a ilość wrażeń, odbieranych nieznaczną, jest sportem monotonnym i nudnym. Odwrotnie, rozmaitość dokonywanych ruchów i duża ilość wrażeń, robią sport zajmującym i zabawnym. Niezaprzeczenie pierwsze miejsce należy się pod tym względem polowaniu. Rozmaitość terenu, po którym myśliwy szuka zwierzyny, zmienność pogody, coraz to inne krajobrazy — oto pierwsze przyczyny, dla których polowanie nie bywa nigdy nudnem. Co się tyczy wrażeń, to niezmierna ich ilość, następujących szybko jedne po drugich, coraz nowych i przykuwających całą uwagę, stanowi właśnie główny powab polowania. W kniei i na polu żyjemy prędzej, goręcej; wszystkie nasze władze umysłowe i fizyczne równocześnie wchodzą w działanie. Myśl, uwaga, wszystkie zmysły działają razem, zaostrzone tą samą namiętnością, która nas pcha naprzód przez bagna i zarośla, niepomnych na trud, a często na niebezpieczeństwa. I dziwna, niezrozumiała rzecz! Właśnie te trudy i niebezpieczeństwa stanowią jeden z głównych uroków, najsilniejszą zachętę polowania.

Znaną jest powszechnie namiętność, z jaką polują górale na kozice; ojciec podarty w kawały w przepaści, albo zasypany na wieki lawiną zostawia ją w spuściźnie synowi, który rusza w góry niebaczny na niebezpieczeństwa, czychające na każdym kroku w postaci zawrotu głowy na karko

łomnej ścieżce, śnieżyc huczących na stokach albo kuli strażnika. Ginie i syn pod godłem pięknej Dyany, a wnuk prowadzi dalej zgubne rzemiosło...

Tak rozmyślałem na miękkim mchu litewskiego rojstu i nie zważałem, jak słońce schowało się za bory i na ziemię rozgrzaną dziennym upałem zapadać począł chłodny wieczór. Myśl, że trzeba się będzie podnieść i chodzić, odpędzałem od siebie jak natrętnego komara. Przewróciłem się tylko na bok, wpatrując się w ciemne lasy na widnokręgu, tonące w półcieniu wieczornej godziny i podparłszy głowę na ręku, myślałem ze zdziwieniem prawie, że na tym samym świecie, na którym ta cisza, są gdzieś dalej za lasami i bagnami wielkie miasta z ich tramwajami i elektrycznością, fabryki zatrudniające ludzi dymem i węglem. Sam sobie wydałem się innym człowiekiem w tem otoczeniu ciszy i spokoju. W głowie czułem tę słodką bezwładność, jaka opanowywa człowieka po silnych wstrząśnieniach nerwowych i po zmęczeniu fizycznem.

Z daleka, jakby z pod ziemi, doleciało mnie głuche „Hop-hoop!“ starego Jana. Rozbudziłem się z zamyślenia i, nie chcąc narażać poczciwego starego na próżne wołanie, odkrzyknąłem z całych płuc.

Po dziesięciu minutach nawoływania zobaczyłem ich, jak wlekli się przez rojst, nogi ledwie pociągając. Byli obadwaj w najgorszym humorze, bo trafili na resztę rozbitego stada pardw i strzeliwszy kilkanaście razy, zabili jedną tylko sztukę. Widząc jak są pomęczeni, zaproponowałem krótki spoczynek. Doświadczony jednak Jan oparł się temu stanowczo, nie chcąc czekać nocy, bo do naszego obozu było daleko, przeszło dwie wiorsty drogi przez rojst, po którym i we dnie nie łatwo było chodzić.

Zaczął się więc odwrót, gęsiego za Janem otwierającym pochód. Był to najfatalniejszy kawał drogi, jaki zrobiłem w życiu całem.

Jeżeli rojst za dnia jest terenem niewygodnym i trudnym, to w nocy wydał mi się on istnem piekłem. Co chwila potykałem się o leżące w mchu sęki i gałęzi rozbijając obrzękłe i zbolałe nogi. To nieustanne chwytanie uciekającej równowagi, utrudnione jeszcze grząskim torfem, po którym prowadziła ta dantejska droga, było nad moje siły i wstyd tylko wstrzymywał mnie od kategorycznego oświadczenia mym towarzyszom, że wolę nocować w lesie, niż wracać po takiej drodze do domu. W duszy przeklinałem chwilę, w której przyjechałem na te wertepy, zabite rano głuszce, całą Litwę z jej rojstami, a nadewszystko moje pardwy kołyszące mi się u pasa i tłukące mi nogi. Kiedy szliśmy przez jakąś polankę, przed samym nosem mignął mi ptak; nie sięgnąłem nawet po fuzyę, bo brakło mi energii do wykonania tego ruchu.

— To nocnica — objaśnił Jan (Lelek kozodój).

Kozodój odprowadził nas ze sto kroków migając przed nami w prawo i w lewo, jakby się chciał przypatrzeć, co to za milczące postacie budzą spiącą puszczę.

Z suchego rojstu spuściliśmy się za Janem, który prowadził nas na przełaj, w mokre grzęzawiska. Jeżeli pochód po rojście był już okropnym, to tu droga zaczynała się niedoopisania. Noc zrobiła się już zupełna, ciemna choć oko wykól, zarośla stały się jeszcze gęstszemi i czarniejszemi. Pod nogami czułem ustawicznie wodę, ciepłą od dziennego upału. Na bagnie rosły jakieś kępy, o które zawadzałem co krok nogami, zapadając się między kępami po kolana. I tu jak w rojście nie brakło gnijących złomów kaleczących stopy. Czasami stawiałem nogę na jakiś zgniły pień, który zapadał się pod mym ciężarem wiążąc mi nogę. Powietrze przytem było tak parne i duszne, że oddychać było trudno i literalnie pływałem w pocie.

Nie wiem jak długo trwała ta droga, bo w końcu nie byłem w stanie nawet myśleć i dobywałem resztki sił na wyciągnięcie nóg z błota, po którem stąpałem. Zawieszone u pasa ptaki kręciły się na trokach jak żywe, kołysząc się i podskakując za każdym moim ruchem. I to utrudniało mi pochód niezmiernie. Z pomiędzy wszystkich wrażeń, odebranych w ciągu mego pobytu na Litwie, ten nocny powrót zapisał mi się najgłębiej w pamięci; nie zapomnę go póki życia.

Wreszcie po jakiejś godzinie czy dwóch takiej męczarni, zaczerniała przed nami szopa ze sianem; byliśmy u celu. Resztką sił dowlokłem się do siana i odpiąwszy pas mej ładownicy, rzuciłem się jak martwy, ani pomyślawszy nawet o zmianie odzienia i o posiłku. Usypiając, czułem jak poczciwy, nieoceniony Jan rozsznurowywał mi łapcie i nakrywał kocem.

Upadł tej nocy tęgi deszcz; przez niedokończoną połowę dachu lały się na mnie strumienie wody, a pomimo to spałem jak kamień i nie obudziłem się aż rano, zmoknięty jak kura.

Była to, jak przyznawał sam Jan, niezwykła eskapada nawet dla niego, który przez długi swój wiek nieraz wracał nocą i zmęczony całodziennem polowaniem.

Obudziłem się dość późno cały zmoknięty i drżący od zimna. Za szopą palił się rozniecony duży ogień, przy którym towarzysze mej niedoli suszyli odzienie i gotawali herbatę. Miałem na szczęście suchą wełnianą koszulę, którą przywdziałem, zrzuciwszy czemprędzej mokre szaty. Bolały mnie wszystkie kości, nie mogłem rozprostować skostniałych członków, ale czułem się w ogóle dość dziarskim i wypoczętym po wczorajszej przeprawie. Zasiadłem przy ogniu w kuczki i popijałem gorącą herbatę, lubując się ciepłem, bijącem od płonącego stosu.

Życie zaczynało w nas wstępować i miny po wczorajszem znużeniu i nocnym prysznicu mieliśmy niezłe. Upłynęły dwie godziny, zanim wyschło nasze odzienie rozwieszone nad ogniem; na cietrzewie było już tego ranka zapóźno. Obiecywał nam za to Jan dubelty niedaleko, na które też ruszyliśmy, nie chcąc tracić drogiego czasu.

Słońce już było wysoko i tylko po głębokim lesie znać było ślady wczorajszego deszczu. Błoto, na które prowadził nas stary sługa, zaczynało się o dwieście kroków od naszej szopy; iść więc nie potrzebowaliśmy daleko i założywszy patrony z bekasim śrutem, zaczęliśmy polowanie. Zaraz na początku łąki wpadłem w jakąś głęboką dziurę, z której ledwie mogłem się wygrzebać zabłocony do pasa. Niebezpieczeństwa nie było, ale błoto było jakieś dziwnie lepkie i tłuste tak, że obsychając utworzyło pancerz, który mocno utrudniał mi ruchy.

Miejscowość była zupełnie dziewicza, pusta i głucha. Oprócz myśliwych nie chodził tam chyba nikt; trawy nie cięto, bo była dzika i kwaśna, pomieszana z sitowiem i tatarakiem; grzyby nie rosły, więc i okoliczni włościanie nie mieli tam po co zachodzić. Nawet bydło nie utrzymałoby się na grząskiej i trzęsącej powierzchni. Miejscami trzciny były gęste jak las, a sitowia dorastały długością człowieka. Po bagnie, wogóle niskiem i grząskiem, rozsypane były jak wysepki małe, piaszczyste pagórki, pokryte karłowatą brzozą i wrzosem.

Krajobraz był tak dziki, że chwilami zdawało mi się niepodobnem, żeby te miejsca leżały w Europie, tak bardzo

odpowiadały obrazom, w jakich przedstawiały mi się indyjskie dżungle, albo pampasy Ameryki.

Zwierzyny, oprócz kilku kszyków, które zerwały się po za obrębem strzału, nie było. Na dubelty widocznie było jeszcze zawcześnie. Łąka ciągnęła się wąskim pasem między dwoma ścianami lasu, szeroka może na wiorstę. Widząc, że na łące nic nie ma, zwróciłem się ku bliższemu lasowi, chcąc użyć przynajmniej cienia, a może upolować jakiego rzadszego ptaka. Jakoż ledwie zbliżyłem się do zarośli i począłem iść wzdłuż ciągnącej się ściany boru, kiedy z nad drzew na dwadzieścia kroków wyleciał spokojnie i powoli jakiś wielki czarny ptak, duży jak czapla i podobny do niej z ruchów. Ponieważ szedłem tuż pod drzewami, nie zauważył mnie i wymierzyć mogłem spokojnie. W chwili kiedy pociągnąłem za cyngiel, zobaczyłem, że ptak ma wiśniowe nogi. Po strzale obsunął się miękko, ukośnie na ziemię i upadł powoli jak liść z drzewa, z rozpostartemi szeroko skrzydłami. Oglądając go z bliska domyśliłem się, że mam przed sobą czarnego bociana.

Niepodobna się było omylić, bo pominąwszy upierzenie, podobny był z postawy do białego, pospolitego Maćka zupełnie. Zresztą i miejscowość wskazywała, że to może być czarny bocian, który jest mieszkańcem puszcz *par excellence*. Dziób i nogi ciemno-wiśniowe, pierze białe na piersi i brzuchu przechodzące na grzbiecie w czarny aż stalowy kolor, robią z niego pięknego ptaka w całem znaczeniu tego słowa.

Byłem uszczęśliwiony moim łupem, ale na razie rzeczywiście nie wiedziałem, co z nim począć. Chcąc go kazać wypchać, nie mogłem go troczyć do ładownicy, bo to pogniotłoby mu pióra; nieść go zaś w ręku, znaczyło to zrenonsować z dalszego polowania. Ułożyłem go więc na poprzecznych gałęziach jodły i zapamiętawszy dobrze położenie i miejscowość, żeby do nich trafić, ruszyłem dalej, trzymając się ciągle brzegu lasu.

Widocznie nadobna Dyana łaskawem na mnie patrzyła okiem, bo nie uszedłem dwustu kroków, kiedy zobaczyłem psa stojącego pośród drobnych krzaków na brzegu łąki. To już nie bocian, bo widziałbym go z daleka, ale co to być może? — myślałem spiesząc z bijącem sercem do wyciągniętego jak struna Black'a. Ptak musiał siedzieć twardo, bo pies trzymał nos spuszczony prawie pionowo ku ziemi. Trąciłem go lekko nogą, budząc go z zachwytu i pies rzucił się naprzód łapami, jak gdyby chciał nakryć uciekającą mysz. Zaszumiało w trawie, załopotało i z pod samego nosa psa wyrwał się stary, zleniały cietrzew, wzlatując w górę jak świeca. Black sunął za nim w górę, ale go już nie dosięgnął. Nie mogłem chybić, mając ptaka na 10 kroków na czystem miejscu. Spadł jak kamień, pomimo, że śrut miałem drobny, bekasi.

Nie był to cietrzew tak piękny, jak kosacze na tokowisku, ale wypierzonym był już zupełnie z wygiętemi w lirę piórami w ogonie. Nad oczami jak dwie smugi krwi czerwieniały się korale w formie półksiężyca. Ucieszył mnie ten strzał więcej, niż zabicie pół tuzina młodych cietrzewi, bo wolę zawsze jednę a rzadszą sztukę, do której strzał długo pozostaje w pamięci.

Przytroczyłem mój łup do ładownicy i nabijałem wystrzeloną lufę, kiedy zobaczyłem podchodzącego mego towarzysza. Słysząc strzały przypuszczał, że trafiłem stadko cietrzewi i przychodził wziąć udział w poszukiwaniu. Znalazło się zresztą niedaleko i stadko, z którego zabiliśmy pięć sztuk młodych, ale zupełnie już wypierzonych ciecieruków t. z. „farbowików“.

Dwa zabiliśmy siedzące na drzewie; nietylko nie uciekały widząc nas stojących pod drzewem, ale przypatrywały nam się, ciekawie przekręcając główki, zupełnie jak młode indyki, kiedy posiadają wieczorem na gałęzi. Była to istna rzeź niewiniątek.

Wyszedłszy z lasu na łąkę, spotkaliśmy Jana idącego ku nam w towarzystwie jakiegoś drugiego myśliwca, którego mój kolega znał już dawniej i pozdrowił jako leśniczego sąsiednich lasów.

Jan, choć był sam przez się typem nieporównanym, zgasł przy nowym naszym kompanionie, tak jak gaśnie ranny miesiąc w promieniach wschodzącego słońca. Od stóp, obutych w skórzane łapcie, ogromnych i płaskich jakby stworzonych do chodzenia po grząskich rojstach, aż do głowy nakrytej mimo lipcowego skwaru futrzaną kapuzą, ciągnęło się długie kościste ciało odziane w szary samodział z miejscowych owiec. Żadna żywsza barwa nie cieszyła oka w tej postaci, podobnej do suchego pnia drzewa. Stworzonym wydał mi się ten syn lasów do przemykania się niepostrzeżonym przez puszczę; miał nawet w sobie dużo podobieństwa do swych sióstr jodeł, od których mało co był niższym. Rynsztunek myśliwski tego litewskiego Don-Kiszota składał się ze strzelby, przerobionej ze starego karabina, zadługiej jak jej właściciel i ze starej torby borsuczej o wytartym włosie i czarnej od nalepianego całymi wiekami brudu.

Znajomość okazała się niezmiernie drogocenną, bo leśnik poprowadził nas w miejsca, gdzie nie strzelano w tym roku cietrzewi. Co do ilości zabitej zwierzyny był to najbogatszy dzień naszych polowań. Zabiliśmy oprócz dwóch dubeltów i bociana czarnego, zdobytego przezemnie, 43 cietrzewi, rezultat jak na tamte strony i to w roku stosunkowo w zwierzynę ubogim, niebywały.

Dnia tego widziałem kawał starego, dziewiczego lasu, kawał istnej puszczy. Z powodu procesu toczącego się o ten szmat lasu, utopionego między błotami, nikt go nie tykał. Waliły się jodły i sosny z czasów Witolda, a nikt ich nie podnosił, bo nie miały właściciela. Zato las wyglądał zupełnie pierwotnie, a gąszcz był miejscami nie do przebycia. Ziemię zaścielały gnijące gałęzie, połamane starością i wichrami, między drzewami pełzał dziki chmiel plącząc między sobą mniejsze drzewa i krzewy. Paprocie dorastały na gruncie bogatym w wilgoć do niebywałych rozmiarów. Była to zresztą jedyna drobniejsza roślina, jaka ostać się potrafiła w tych głębiach leśnych, do których nigdy nie zaglądało słońce.

Zasypany śniegiem las taki musi być zupełnie nie do przebycia, ale pięknie wygląda w oczach myśliwego z pewnością. Tak wyobrażałem sobie zawsze knieje, w których za dawnych czasów polowali nasi przodkowie, tura dopiero i niedźwiedzia do grubej licząc zwierzyny.

Rozkoszowałem się tą puszczą i ciszą, przerywaną tylko pukaniem dzięciołów po spruchniałym drzewie. Było ich tam tak wiele, jak nigdy przedtem nie widziałem, widocznie ściągniętych pokarmem, którego dostarczały zgrzybiałe, opadające z kory olbrzymy.

Późno po południu wróciliśmy do obozu zmęczeni, zerwani zwierzyną, którą dźwigać potrzeba było mimo upału.

Wieczoru, który nastąpił po tem popołudniu, nie zapomnę nigdy. Po skwarnym dniu i po deszczu, zapadł cudny, gwieździsty wieczór, chłodny, wonny i bez mgły. Bliski las wydawał się jeszcze czarniejszym, ognisko jaśniejszem. Wszystko razem wydało mi się tak pięknem, tak ro-

mantycznem, tak odmiennem od codziennego żywota, jak nigdy. Po prostu uczułem się człowiekiem innym jak zwykle, o szerszym duchu, szerszej piersi, łatwiej czującem to co piękne i dobre, lepszym.

Długo, długo w noc siedzieliśmy, a raczej leżeli, leniwie wyciągnięci na pledach, zasłuchani w opowiadania starych myśliwców, którzy jakby się chwaląc kto więcej widział, coraz to lepsze opowiadali zdarzenia i historye. Nie wszystko w nich było prawdą, ale mniejsza o to, byle się słuchało przyjemnie. Jan, bywalec, piękniej umiał opowiadać, zato leśnik był więcej prawdziwym i więcej miał charakteru. Nawet jodły nie szumiały dokoła, zasłuchane w opowiadaniach starych myśliwych, a księżyc wypełzał z za borów na sam szczyt nieba i patrzał na nas z wysoka cichy i pogodny. Innych on tam ludzi, inne puszcze i inne łowy widywał w tych miejscach...

Ach! a to powietrze, jakiem tam oddychaliśmy!... Od szopy ciągnęło świeże siano jak balsam, a z lasów zalatywał nas ten silny, zdrowy zapach sosny i paproci, który idzie od lasów po gorącym dniu.

Trochę rozmarzeni bajkami starych, trochę tęskni za tem, co minęło i nie wróci, poszliśmy spać.

Nazajutrz ze świtem ruszać mieliśmy znowu na polowanie pod przewodnictwem starego leśnika, który cuda nam obiecywał w miejscach, do których nas prowadził. Leżałem jeszcze długo na sianie, wpatrując się w gwieździste niebo, przeglądające przez niedokończoną strzechę i usnąć nie mogłem. Jedna z gwiazd nad samym zrębem szopy, najjaśniejsza i najmigotliwsza, mrugała ciągle ku mnie, jakby się przekomarzając, że coś wie, a powiedzieć nie chce. Z jej obrazem pod powiekami usnąłem.

Niewiem jak długo spałem, kiedy obudził mnie jakiś głos przed wrotami naszej szopy. Nastawiłem ucha i doleciały mnie słowa: „Z Warszawy — bardzo pilno — na noc wysłali z S.“

Zrozumiałem i wytrzeźwiałem w jednej chwili. To o mnie chodziło. Wybiegłem przed szopę, gdzie konny posłaniec trzymał depeszę i rozmawiał ze starym Janem. Przy księżycu przeczytałem depeszę. Zaadresowana do mnie te dwa tylko zawierała słowa: „Przyjeżdżać zaraz“. Podpisane nazwisko nie dopuszczało zwłoki. Obudziłem mego znajomego, bo ruszać trzeba było zaraz, jeżeli zdążyć chciałem na wieczorny pociąg. Przed świtem ruszyliśmy do S. rzucając te lasy i to życie cygańskie pełne uroku.

Bądźcie zdrowe knieje, głuszce i cietrzewie! Wspominam o was z westchnieniem, a myśląc o tych kilku dniach na Litwie, czuję i widzę te noce wilgotne i pachnące, ten księżyc w pełni płynący nad obszarem czarnych lasów i te sympatyczne twarze oświetlone ogniskiem, dokoła którego rozkładał się co dnia nasz myśliwski tabor. O starym Janie myślę często, a wydaje mi się on — w warunkach, w których żyć trzeba i w porównaniu z ludźmi, z którymi przestaję — istotą z innych czasów czy z innej planety. Rozmawiamy z Blackiem o naszych tryumfach, które święciliśmy na litewskich rojstach. Black kiwa ogonem i patrzy mi tęsknie w oczy, potem ziewa i zwija się pod kominkiem w kłębek, jakby mówił: Złe i nudne czasy, wtedy lepiej było...

Przed południem byłem w S., skąd po obiedzie, obdarowany zabitą zwierzyną, pożegnany serdecznie i wycałowany ruszyłem w drogę, zostawiając serce i wdzięczność, a najlepsze wioząc wspomnienia. Bodaj czy nie łzę obtarłem pod okiem, żegnając tych dobrych ludzi i te lasy gościnne...

Pod wieczór jak szereg żórawi zaczerniały słupy telegraficzne i wstyd mnie bierze kiedy mam wyznać, że doznałem miłego uczucia myśląc, że te słupy to droga, wzdłuż której za dziesięć godzin będę w domu, gdzie czeka na mnie kąpiel, własne łóżko, biurko, asfalt i znajomi. *Consuctudo altera natura...*

Na dworcu w Warszawie patrzano na mnie jak na Robinsona albo Stanleya, kiedy opalony, brudny i zarośnięty wysiadłem z wagonu, a posługacz niósł za mną broń i powiązane pękami ptaki, nieznane u nas. Black był uszczęśliwiony powrotem do domu, bo i on zniewieściał jak jego pan i zaległ pole. Gdyby nam kto zaproponował drugą podobną wyprawę, mimo trudów, mimo upału i torfniaków, powiedzielibyśmy obaj: „Choćby jutro!“.

S. Z.

Szkice z podróży i polowań w Afryce

przez

Antoniego Pisulińskiego.

(Ciąg dalszy).

Tej samej nocy ogromnego strachu napędziły nam lwy. Zwabione zapachem mięsa, czy może temi resztkami, któreśmy nieoględni na dolince zostawili, podsunęły się pod sam obóz. Tu poczęły się żreć między sobą, następnie ryczeć tak przeraźliwie, że jeden z chłopaków, na pół we śnie, nie wiedząc co się dzieje, z obozu chciał umykać. Na szczęście zatrzymano go wczas i przyprowadzono do przytomności.

Ja, również zbudzony z głębokiego snu, nie mogłem sobie na razie z tego wszystkiego zdać sprawy. Ryk lwów mięszał się z hałasem murzynów, kwikami i łajaniem. Dopiero po chwili zrozumiałem o co chodzi, gdy umocowawszy na sobie tę część ubrania, której w zwykłych warunkach do łóżka się nie bierze, wyjrzałem z namiotu.

Wystraszona twarz Antonia powitała mnie na wstępie: „Mikangu-pafupi panu!“ [1]) były słowa, które był w stanie z siebie wycedzić i drżąc jak liść osiki — chciałem powiedzieć bananu — wskazywał palcem kierunek, gdzie lwy się miały znajdywać.

[1]) Mikangu-pafupi panu — lwy tu blisko.

Ale mój wzrok był za słaby, aby cokolwiek dojrzeć w tej ciemności. Postąpiłem więc bliżej ku ogniskom. Tu oparci na karabinach stali wszyscy moi strzelcy w pogotowiu. Zwróceni głowami ku dolinie szeptali coś między sobą. Prawdopodobnie rozróżniali oni tam kształty lwów, ale trzeba też mieć oczy murzyńskie, aby co dojrzeć w takim półmroku. Księżyc był w ostatniej kwadrze, nie wiele zatem dawał światła, a podnosząca się mgła czyniła przedmioty jeszcze mniej wyrazistymi.

Szczęściem lwy nie miały chęci nas niepokoić, bo poprzestały na resztach, jakieśmy im tam zostawili; my zaś byliśmy im wdzięczni za to i nie zaczepialiśmy ich także. Pilnując obozu, siedzieliśmy około ognisk i oczekiwali ranka.

Z blaskiem dnia znikły lwy z dolinki, ale stękania ich słyszeliśmy jeszcze czas długi, aż wreszcie zgubiły się gdzieś w oddali pośród gąszczy bez echa.

Cudowny poranek zapowiadał się dnia tego ale zimno było dojmujące. Dolina, którąśmy mieli u stóp naszych, wyglądała jak jezioro, bo mgły przytulone do jej wilgotnego łona zasłoniły dno, dając widzieć tylko brzegi i rosnące po nich krzewy. Wiatr, który dmuchał nocą, uspokoił się; głosy nocy umilkły. I naraz głucha cisza zapanowała w tej puszczy.

Cisza taka, która towarzyszy obudzeniu się poranka, jest imponująca. Czuje się ją nie zmysłami, ale duszą. Zdawałoby się, że cała przyroda zatrzymała się w biegu i wypoczywa. Wszystko, co dotąd wrzało życiem — układa się do snu; to co ma rozpocząć pracę dzienną — jeszcze drzemie. Milczenie jest wszechwładnem — bezgranicznem.

Na człowieka żyjącego w tej przyrodzie spokój taki musi wywrzeć pewne wrażenie. Odczuwa on go instynktownie i ulega mu. Umysł jego zapada w rodzaj półświadomości tego, co się dzieje naokół — rzekłbym — drzemie także. A jeżeli myśl jaka niespokojna zakłóci na chwilę tę drzemkę moralną, to wraca rychło do punktu skąd wyszła, upokorzona ogromem rozlicznych problemów, jakie się naówczas mimo woli nasuwają...

Ukazało się wkrótce pożądane słońce; w obozie nastał gwar. Jedni pomęczeni nocnem czuwaniem, grzali się teraz przy ogniskach, inni pakowali naczynia, łóżko i namiot. Ja piłem jeszcze kawę i ze stołka polowego oglądałem miejsce nocnego koncertu. Wypłoszona obecnością lwów zwierzyna, zaczynała się teraz ściągać na paszę. Zrazu tylko okazał się tu i tam samotny jaki koziołek, później stadka kóz i grupy zeber, a w końcu i dziki zjawiły się na dolince. W chwili gdyśmy się zabierali do odejścia, znowu tam wrzało życie. Na horyzoncie posuwała się długa, czarna linia wzdłuż lasu. Były to bawoły wracające od wody.

W dniu dzisiejszym, który mi się dobrze wbił w pamięć, ucierpieliśmy wiele od spieki. Jak długo szliśmy wzdłuż rzeki i mieli wodę pod nosem, nikomu nie śniło się o piciu. Kiedyśmy jednak zboczyli w las, zostawiając rzekę na milę za sobą, wszystko pożądało wody — wody za każdą cenę. Ale skądże jej dostać? wracać byłoby niepodobieństwem, źródła zaś, na któreśmy liczyli, mogły być dopiero koło wioski, dokąd dążyliśmy, a ta, nie wiedzieć jak daleko leżała. Wprawdzie twierdził Kaniole, że ścieżka, którąśmy szli, do tej wsi na pewno prowadzi, ale oznaczyć nie umiał, czy tam zajdziemy w południe, czy pod zachód słońca, czy też później.

Ach, lecz cierpliwości! Kto chce polować w Afryce środkowej i do tego polować na słonie, na wszystko musi być przygotowanym. W wypadkach, gdzie potrzeba całej siły woli, by nie upaść pod ciężarem przeciwności i trudów fizycznych, powinniśmy tłumaczyć sobie, że położenie nasze nie jest jeszcze tak rozpaczliwem, że mogłoby być gorzej i filozofii tej trzymać się uparcie. Najmniejszy cień zwątpienia sprowadza nostalgią, a ta może zniszczyć najlepsze plany i postanowienia.

Otóż wytrzymaliśmy i my tę próbę. Z wyschniętemi gardłami, zmęczeni i okryci pyłem, dobiliśmy się nareszcie do wioski „Moweza“. Woda, której tak pożądaliśmy i spodziewali znaleść w strumieniu, nie istniała tu; za cały zdrój służyło bagienko pod skałami, dokąd zaprowadzono nas wkrótce. Ach! cóż to była za woda — pożal się Boże! Woń jej sama była już odstraszającą, a kolor ciemno-bronzowy. Jeżeli słowa „żur“ używa się na oznaczenie czegoś mętnego, to woda ta była żurem w pojęciu najskrajniejszem. Ale jakżeż mogło być inaczej, gdy w tym małym i bagnistym basenie pluskało się kilka murzynek i tyleż maminych pociech płci obojga.

Niespodziane to zjawienie się u miejsca kąpieli widocznie naówczas dla dam zarezerwowanego, sprawiło największą konfuzyę całego towarzystwa. Jedne damy uciekły w las w stroju Ewy i zostawiły całą garderobę na pastwę losu, inne poklękały tuż w zaroślach, usiłując — jak strusie — chociaż do połowy ukryć swoje wdzięki; reszta zaś chwyciwszy fartuszki uciekała boczną ścieżką, opasując się w biegu, pośród pisków i śmiechu.

Zostawszy panami sytuacyi, czekaliśmy jeszcze chwilę, aż woda się ustała, potem ukląkłszy nad brzegiem, czerpaliśmy w dłonie tę zupę i tak gasili pragnienie. Mimo wszystkich swoich stron ujemnych, woda ta była nieoszacowaną.

Chcąc dzisiaj jeszcze dalej maszerować, kazałem natychmiast gotować obiad, a gdy z tem się uporano, wyruszyć ze wsi. Czarni jednak jakoś leniwie zabierali swoje tłumoczki, a Antonio ani rusz nie mógł uporać się z „marondą“ i kręcił się po wsi i po chatach. Były to jego zwykłe manewry, obliczone na to, ażeby czas strawić do zachodu słońca, a tem samem uniemożliwić wyjście ze wsi. Ja zaś przeszkodziłem temu, bo wyciągnąłem go z jednej z chat i kazałem maszerować na przodzie.

Ledwie w lesie znalazło się nasze „ulendo“, gdy zwrócił się do mnie Namondi i oświadczył, że nie zna drogi do Iniamuli.

— To znasz do Lisungwe, a stamtąd łatwo do wsi się dostać, bo leży nad brzegiem tego strumienia — odpowiedziałem rozkazująco.

— Nie znam i do Lisungwe — hardo odpowiedział.

Wiedziałem teraz, czem to pachnie, więc pokazując palcem na zachód, powiedziałem:

— Tam jest Lisungwe! kiedy ty nie wiesz, to ja biały ci pokażę.

I nie czekając już na żadną odpowiedź, ruszyłem naprzód. Reszta pociągnęła za mną i szliśmy tak nic nie mówiąc do siebie, aż do wieczora. Kierunek wskazywało słońce, które — jakgdyby chcąc mi przyjść w pomoc — do ostatniej chwili przeglądało przez konary drzew czerwonymi promieniami, aż w końcu skryło się za wzgórek, zatrzymując w ten sposób nasz pochód.

Obozu dziś nie zakładano; rozbito tylko namiot dla mnie. Całe towarzystwo miało nastrój ponury. Nie gotowano również, bo nie było na czem i tylko jedno ognisko oświecało cało nasze legowisko. Strzelcy i tragarze byli smutni, „muzungu“ zaś zły. Brak wody nie usposabia wesoło.

Od rana poczęła się wędrówka na oślep. Skonstatowawszy podług kompasu kierunek zachodni, prowadziłem tam moje „ulendo“. Pomiędzy krzaki, ciernistе zarośla, trawy lub wypalone golizny wlekliśmy się jak stado zbłąkanych owiec.

Czarni nie odzywali się do mnie, więc i ja do nich nic nie mówiłem, alem maszerował prędkim krokiem i udawałem, że znam drogę. Wody nie znaleźliśmy nigdzie, bo łożyska strumieni, które przekraczaliśmy, były suche oddawna.

Po południu naprężony nasz stosunek poprawił się. Antonio widząc, że nic nie mówię, lecz idę naprzód bez wytchnienia, zrobił mi uwagę, iż wartałoby spocząć. I rzeczywiście był już czas po temu. Nasz pochód dzisiejszy trwał już przeszło sześć godzin bez wody i odpoczynku. Słońce dokuczało straszliwie, a upał potęgowało jeszcze odbicie od skał, wśród których przechodziliśmy. Chociaż zarośli mnóstwo dokoła, to cienia dawały mało, bo drzewa były z liści ogołocone. Twarze moich ludzi miały jakiś wyraz idyotyzmu czy zmęczenia — powiedziałbym wychudły i ponaciągały się raptownie. Ja sam czułem, że daleko już nie zajdę. Dziwna ociężałość mną owładnęła, a w oczach robiło mi się ciemno. Czułem na mózgu ciśnienie cetnarów.

I karabin zaczął mi się wydawać potwornie ciężkim. Przekładając go z ramienia na ramię, otarłem ciało do kości. Wlokłem się jednak uparcie, jak automat.

Dopiero około trzeciej nagle się zatrzymałem. To zatrzymanie się moje spowodowane było zjawieniem się stadka wielkich antylop „Ngondo“, które przebiegły po naszej drodze. Prawie mimowoli rozpocząłem do nich kanonadę. a że nie uciekły natychmiast, ubiłem trzy sztuki jedną po drugiej. Czarni, jakby zelektryzowani tym wypadkiem, powitali mię głośnymi okrzykami. Słowo „makońiola“ usłyszałem powtarzane z ust do ust, a oznacza ono w ich dyalekcie doskonałego strzelca. I nazwa ta pozostała mi tak długo, jak długo w tych okolicach polowałem.

„Ngondo“ *(Acelaphus Caama)*, jedna z tych trzech odmian, które w tym kraju są znane, jest potężnem zwierzęciem. Wielkości krowy, ma część przednią ciała nieco podniesioną, przez co wydaje się garbatą. Sierść jej jest koloru brunatno-czerwonawego z jaśniejszym odcieniem ku brzuchowi, brzuch zaś biały. Ogon jest dość długi, podobnie jak u naszego bydła domowego. Głowę ma wydłużoną i fizyognomię bardzo głupią. A rogi! te są już najkomiczniejsze. Są krótkie, w połowie zgięte pod kątem 90 stopni i ku tyłowi zwrócone. Do wielkości głowy są one całkiem nieproporcyonalne. Zato mięso jest smaczne i przypomina bardzo wołowinę.

Antonio, u którego zmysł kulinarny bardzo był rozwinięty, żałował, że wszystkiego mięsa zabrać z sobą nie mogliśmy. Wziął jednak sporą ilość tegoż, opakowując niem tragarzy o ile to się tylko dało. Murzyni, znużeni drogą, zaspakajali tymczasom głód, czy też pragnienie, wysysając sok z żołądków ubitych zwierząt. Rozcwiertowali też wszystkie trzy sztuki, ale prócz polędwic i nieco lepszego mięsa, które zaraz wycięto, reszta pozostała dla lwów i hyen. Przykro mi było, iż tyle mięsa się zmarnuje, ale strzelając do stadka, nie przypuszczałem, że wszystkie ranione sztuki padną. Byłem więc zły sam na siebie.

Aby zabić wyrzuty sumienia, ruszyłem zaraz naprzód, myśląc, że wypocząwszy trochę, będę mógł iść jeszcze daleko. Tymczasem nogi odmówiły posłuszeństwa. Po godzinie musiałem stanąć. Byliśmy teraz na grzbiecie jednego z tych wzgórzy, których dzisiaj przekroczyliśmy już nie wiem ile. Wzgórze to było wyższem od innych i daleki widok roztaczał się przed nami. Na zachodzie, o jakie pół dnia marszu, widniało wysokie pasmo gór „Kirk-range“, a między niemi nami kilka lub kilkanaście pasm mniejszych, biegnących równolegle do siebie i pokrytych lasami. Wielki wąwóz, głęboki i zarośnięty, otwierał się popod naszemi stopami.

— Tu gdzies musi być Lisungwe — myślałem sobie — w każdym razie z tej strony gór; tak było oznaczonem na karcie.

Ale czy można wierzyć kartom, gdy chodzi o małą rzeczkę górską w środkowej Afryce? A w końcu, czy i to pewne, że te góry, które widzę, są owem Kirk-range?

Rozmaite myśli nasuwały mi się do głowy, a wszystkie nie wesołe.

— Jeżeli do jutra nie znajdziemy wody — myślałem — kto wie, czy drugiego wieczora doczekamy. Pragnienie zabija tu prędko podróżującego podczas spieki.

I znowu zaczęło mi się ściemniać w oczach; oparłem się na karabinie. Patrzyłem przed siebie, ale nic nie widziałem. Ludzie coś mówili między sobą, ale nie rozumiałem, o co chodzi. Czułem, że nogi ledwie utrzymują mój ciężar — i że lada chwila upaść mogę. Tylko siłą woli utrzymywałem się w postawie stojącej. Popękane od słońca wargi dokuczały mi straszliwie, a policzki pałały ogniem.

Pośród tej ciszy, w której wszystko mówiło o śmierci, szum jakiś dał się słyszeć od zachodu. Lekki powiew wiatru musnął moją twarz spieczoną i zdawało mi się, że znowu szmer jakiś usłyszałem. Myślałem, że pochodzi od przelatującego roju pszczół, których tu mnóstwo, i mimowolnie się oglądnąłem.

— Co to jest? — pytałem Kaniolego, który stał tuż za mną.

— Kaja[1]), może Lisungwe, ale Namondi powinien lepiej wiedzieć, bo polował już dawniej w tych stronach; pójdę go spytać.

I poszedł za Namondim zostawiając mnie samego.

Kiedym się obejrzał po raz wtóry, oczekując wysłańca, już go nie było w pobliżu. Schodzili wszyscy ku wąwozowi z widocznym pospiechem. Powlokłem się i ja za nimi.

Czem dalej ku dołowi, tem wyraźniej szmer ten był słyszalnym. Już prawie nie było wątpliwości, że to woda. Wkrótce i plusk jej można było rozróżnić. Życie wracało.

Jeszcze kilka minut drogi dzieliło nas od zdroju. Woda! Co za rozkosz nieokreślona! Odkrycie miny złota nie byłoby w nas wywołało takiej metamorfozy, jak ta pewność, że pić będziemy. Ja, biały, o małom nie wyskakiwał z radości. Do ludzi moich nie miałem już więcej urazy, byłbym ich uściskał z zadowolenia, tak mi jakoś błogo było koło serca.

Z jaką skwapliwością przedzieraliśmy się przez ostatnie gąszcze, dzielące nas od strumienia, ten tylko pojmie, kto podróżował po Afryce i w podobnem jak my był położeniu. Wreszcie stanęliśmy u wody. Było to pożądane Lisungwe.

Ach! jakże pięknym wydał mi się ten strumień. Woda spadała tu pośród granitów ze stopnia na stopień, czyniąc szum, któryśmy z dala słyszeli. Po brzegach rosły wspaniałe drzewa, a chłód panował tu orzeźwiający. Woda była prawie niebieska, czysta jak kryształ i zimna. Baseny, które się tu w rozlicznych zagłębieniach potworzyły, zachęcały do kąpieli. Krokodyli nie potrzebowaliśmy się obawiać, gdyż nie było nigdzie większej głębi; dno zaś było widocznem, a miejsc takich unikają te zwierzęta.

Gromadka moja była już przy robocie. Rzuciwszy manatki byle gdzie, piła wodę, czerpiąc ją w dłonie lub wprost do ust, jedni bowiem klęcząc oddawali się tej operacyi, inni leżąc na brzuchach. Kilku poszło nawet jeszcze dalej w swoim zapale; wlazłszy w wodę, kąpali się i pili zarazem. I ja poszedłem za przykładem tych ostatnich i w ten sposób gasiłem pragnienie.

---

[1]) Kaja — nie wiem.

Noc przepędziliśmy tu nad brzegiem pod olbrzymim figowcem. Dobra wieczerza i noc spokojnie przespana, pokrzepiły nas na nowo i dodały animuszu do dalszych trudów. Z brzaskiem podążyliśmy dalej.

Zachodziła teraz trudność w tem, by wynaleść najkrótszą drogę do Iniamuli i nie narażać się na takie same niebezpieczeństwo jak wczoraj, odszedłszy od strumienia. Namondi ciągle jeszcze twierdził, iż drogi nie zna, ale ja temu nie wierzyłem, a Kaniole wprost mu oświadczył, że kłamie. Musiałem jednak udawać, że nie słyszę tego, bo nie było sposobu zmusić krnąbrnego murzyna do powiedzenia prawdy, narażać się zaś na bunt otwarty, było niebezpiecznem.

W obawie, byśmy naprawdę nie zbłądzili, gdybyśmy wprost maszerować chcieli, nakazałem trzymać się strumienia. Tak idąc, musieliśmy dojść do celu, chyba, że rzeka ta nie była Lisungwe, a góry, któreśmy wczoraj oglądali, nie były owe Kirk-range oznaczone na mapie. A wtedy niech giną kartografowie i wydawcy map!

Lisungwe, które wczoraj błogosławiłem, miałem dzisiaj w pogardzie. Wiodło ono nas przez takie manowce, iż nie człowiekowi, ale i słoniowi trudno by było się przedrzeć przez nie. Brodząc z brzegu na brzeg, a to czasem kilka razy na godzinę, obijaliśmy sobie stopy o bloki granitu, któremi dno było wyścielone, a że były gładkie i jakimś mchem porosłe, wywrotów było co niemiara. Ja sam, chociaż najczęściej na karku murzyna odbywałem tę drogę, zmoczyłem się porządnia i dopiero litościwe słońce południowe wysuszyło moją dolną garderobę.

Najtrudniejsze przeprawy mieliśmy pośród gąszczy ciernistych, bo te odbywały się na czworakach. Jak tragarze tamtędy się przedzierali, jak się czołgali popod gałęzie z kilkudziesięciu - funtowym pakunkiem na głowie i z karabinem w ręku, dotąd mi jest niepojętem. Na to trzeba zaiste karku i wytrwałości murzyńskiej. Częstokroć droga nasza tak była zatarasowaną skałami i zarosła roślinnością kolczastą, wijącą się i gęstą, że zdawało się, iż bez siekiery i noża dalej kroku nie zrobimy. Tymczasem jedno spojrzenie Kafra wynajdywało przejście, wprawdzie dotkliwe dla twarzy i rąk, ale zawsze przejście naturalne, któregobym ja pewnie nie dostrzegł.

W wędrówce tej dzisiejszej oglądałem nad strumieniem kilka wielkich drzew, a jeden baobab grubością swoją prawdziwie mi zaimponował. Jak go na oko ocenić mogłem, miał 18 do 20 stóp średnicy. Korona jego, całkiem z liści obnażona i niepokaźna, dawała mu pozór olbrzymiego buraka, posadzonego na odwrót. Prócz baobabów i nielicznych bawełników reszta drzew jest karłowatą i nie zasługuje na wzmiankę. Są to przeważnie krzaki o ostrych kolcach, małe akacye, euforbie i jakiś gatunek wijącego się kaktusu, który niby czycha na to, aby człowieka tamtędy przechodzącego zjadliwym swoim poczęstować kolcem.

Ileśmy mil dzisiaj uszli, oznaczyćby trudno. Przedzieranie się przez krzaki zabiera wiele czasu; posuwaliśmy się więc powoli naprzód. Na czele pochodu szedł znów Namondi, potem ja, za mną chłopak z wielkim karabinem i ładunkami, dalej w porządku gęsim reszta tragarzy z Antonim, zamykającym pochód. Orszak ten musiał rozciągać się na długą linię. gdyż od czasu do czasu stawać byliśmy zmuszeni, by po dobrym dopiero kwadransie połączyć się z resztą pozostałą z tyłu. Niekiedy nawet pogubiliśmy się w zaroślach i dopiero świstaniem i nawoływaniem odnajdywali jedni drugich.

Namondi, który jakoś w ostatniej chwili nabrał „kurażu“, pokazywał mi po drodze dawne drogi słoni i zapewniał, że te wiodą w góry i że my tam je odnajdziemy. Świeżych śladów jednakowoż nie było, za to kilka odcisków nosorożców, czyli jak ich tam zwą „czipembere“ z wyraźnymi śladami ich złego humoru. Śladów bawolich widzieliśmy także wiele, zwłaszcza w miejscach, gdzie trzcina zachowała swoją zieloność, tj. na moczarach lub też nad strumieniem. Zato zwierząt samych nie widziałem wcale oprócz samotnego kozła „Ngomy“ [1]), którego dla pospiechu najohydniej chybiłem. Dopiero pod wieczór, gdyśmy już stanęli na nocleg, udało mi się wypatrzyć stado pantarek i ubiłem trzy sztuki z strzelby murzyńskiej.

Miejsce, gdzie rozbito mój namiot, było prawdopodobnie dawnem obozowiskiem innych myśliwych. Świadczyły o tem resztki kości, rogów i ogromna czaszka bawoła, nie bardzo jeszcze sucha, a zatem nie pachnąca, którą należało wytransportować.

Te ślady bytności ludzkiej w tak odległych stronach, nie dodawały mi wcale otuchy. Przypuszczać musiałem, że i ci, co to miejsce opuścili, byli strzelcami i prawdopodobnie na słonie polowali. Przy tak mizernym stanie zwierza nie była to pożądana konkurencya.

Następnego dnia byliśmy już we wsi Injamuli, i ulokowaliśmy tam z naszem „ulendo“.

D. 8. sierpnia. Noc dzisiejszą przespałem źle, a to z powodu bliskości bawołów, które się kręciły tu po ogrodach. Kilkakrotnie wyglądałem za nimi z namiotu. Strzelać nie mogłem, bo noc była ciemna, a w tym labiryncie chat i krzaków — chybiwszy bawoła — mogłem łatwo kogo we wsi poczęstować.

Już od świtu krzątali się nasi, przygotowując się do wymarszu. Antonio, kilku najmłodszych tragarzy, oraz pakunki pozostają we wsi. Towarzyszą mi tylko wszyscy strzelcy, Kaniole i dwóch przewodników z tutejszej miejscowości. Z żywności zabraliśmy ze sobą bardzo mało zasobów, spodziewam się bowiem ubić zwierzynę jaką po drodze, zaś objuczać zbytnio ludzi, znaczyłoby ukracać sobie pobyt w górach.

Strzelcy moi są dobrze usposobieni, bo stary Injamula wywróżył im — rzucając kości — szczęśliwą podróż; a że „muzimu“ tej miejscowości dostał również mąkę na tę samą intencyę, zatem wszystko powinno pójść dobrze.

Około południa byliśmy już na wysokości trzech tysięcy stóp n. p. m. Drapiąc się po pochyłościach skalistych i śliskich, zmęczyliśmy się ogromnie, przeto na pierwszej już terasie zatrzymaliśmy się celem wypoczęcia.

Orzeźwiający wietrzyk powiewał tu od wschodu, a słońce nie piekło tak jak na równinie. W tej wysokości powietrze jest już rzadszem, a płuca silniej pracują. Piersi, wzdymając się szeroko, chwytają pełnymi haustami ten nieoszacowany balsam. To też czułem, że sił mi przybywa z każdą chwilą. Członki stały się elastycznymi, a głowa lżejszą. I byłem gotów wierzyć, że biały żyjąc tutaj, czułby się o wiele zdrowszym i energiczniejszym, niż w dusznej i febrycznej atmosferze dolin.

Oglądając panoramę, jaka się teraz otwierała przedemną, sięgałem wzrokiem to na północ ku Njassie — to na wschód, gdzie szarzały w niebieskim mroku pasma gór Zomba, to na południe w dolinę Sziry, którędy wiła się ta rzeka srebrnym pasem. Za pomocą szkieł rozpoznawałem mniejsze przedmioty dość dokładnie, a u stóp góry dostrzegłem dwa wspaniałe kozły „ngomy“ pasące się naj-

---

[1]) Ngoma — Strepsiceros Kudu.

[2]) Muzimu — duch opiekuńczy (duch zmarłych).

spokojniej na leśnej polance. Widziałem także wioskę Injamuli, której chaty wyglądały jak kupki suchej słomy rozrzuconej pośród krzaków.

Dawszy w ten sposób płucom chwilę wytchnienia, ruszyliśmy znowu pod górę, a nie wypoczywając już nigdzie, po dwóch godzinach stanęliśmy na szczycie. Stąd widok jeszcze piękniejszy. Wprawdzie szczegóły w dolinie mniej wyraźne, bo szarą jakąś pomroką osłonięte, ale za to widnokrąg szeroki, jasny i prawie bez końca. To też znów puściłem wzrok mój nad Njassę. Patrzyłem w te mgły, które z ziemi robiły niebo i ją z niem łączyły, i w ten przestwór powietrzny, który się ścielił przedemną a wiódł ku północy, bo tam okiem wyobraźni zdawało mi się dostrzegać kraj mój rodzinny. I w tej chwili nie istniałem dla Afryki—duszą byłem pomiędzy swoimi.

Z tej zadumy wyprowadzili mnie wnet czarni. Ciągnąc za rękaw dawali poznać, że im się spieszy. Należało bowiem wynaleźć wodę i odpowiednie na nocleg miejsce. Szliśmy więc tak jeszcze do wieczora, raz w dół, to znowu w górę, aż odnalazłszy strumień, stanęliśmy nad jego brzegiem. Był to „Mukuru-madzi“ wpadający do Sziry.

D. 9. sierpnia. Noc całą dygotałem od zimna, na które wcale się nie przygotowałem. Namiotu ze sobą nie miałem, a spiąc tuż przy wodzie, całą rosę ranną zebrałem na koce. Wszystko na mnie było wilgotne, a ja sam skostniały. Wątpię, czy temperatura wynosiła więcej nad +6 C.

Już mieliśmy wyruszać z obozu, gdy mi zaanonsowano słonie. Jeden z ludzi Injamuli odkrył w trzcinach świeże ich ślady i naglił do pospiechu. Stado było liczne. Mogło się składać z kilku sztuk wyrosłych i pary cielaków. Między nimi były dwa okazy bardzo stare, których ślady poodmierzał Kaniole na swojem „dodo“ [1]) i przyniósł mi na pokaz. Stare te słonie trzymały się zawsze na boku od reszty towarzystwa, jakgdyby się go wstydziły, a w ciągu dnia tylko raz z gromadą się połączyły, aby wkrótce znów się rozłączyć. Historyę tę czytaliśmy wyraźnie ze śladów.

Nieszczęsne to były słonie. Myśmy nie mieli ich nigdy oglądać. Prowadziły nas one daleko — a mimo żeśmy maszerowali od zachodu słońca — przestrzeń między nami a stadem się nie zmniejszyła. Ile pasm górskich przekroczyliśmy dzisiaj, ileśmy razy brodzili przez strumienie i bagna, ile razy przedzierali się przez „kalangi“ [2]) – ja tego już powiedzieć nie umiem. Wiedziały o tem nogi, bo ku wieczorowi posuwały się już bez żadnej energii. Wreszcie ustały. W tym czasie noc zapadła. Czy tak, czy owak, iść dalej nie było możebnem. Zasnęliśmy — abym się tak wyraził — na śladzie.

D. 10. sierpnia. Było jeszcze ciemno, gdy się obudziłem. Lubo zziębnięty i głodny nie czekałem na herbatę, ale kazałem wyruszać. Słonie podczas nocy musiały już zajść daleko, a jeżeli gdzie przystanęły dla spoczynku lub jadła, to z pewnością przed świtem były w drodze. Każda stracona chwila oddzielała nas bardziej od nich.

Nie pomogły jednakowoż moje gderania. Ludzie byli pomarzli i musieli się ogrzać. Należała się im ta odrobina ciepła. Prawie nadzy, bo okryci tylko tym fartuszkiem, który im we dnie służył za ubranie, szczękali zębami i drżeli jak w febrze. To też z zapałem rozdmuchiwali ogień i siadłszy dokoła wielkiego ogniska, wyczekiwali wschodu słońca.

Zrobił się wreszcie dzień. Słońce wyjrzało, ale zimno było jak przedtem. Ciężka rosa wisiała po krzakach i zaroślach, a spadając na nasze głowy i karki, ziębiła do reszty. Goniliśmy za to jak można najprędzej, zostawiając kulejącego Kaniolego daleko za sobą.

Ze znaków, które tylko Namondi odczytać potrafił, wyrozumował, że słonie dziś nie staną. Aby ich dopędzić, musieliśmy natężyć wszystkich sił naszych i nie spocząć ani razu. Ale skądże nabrać tyle mocy, gdyśmy i tak tylko ostatnim wysiłkiem woli się wlekli? A słonie goniły jak opętane.

Ledwieśmy się wdarli na wierzch jednego z tych wysokich łańcuchów — może kilka tysięcy stóp nad poziom morza — myśląc, że tam słonie zastaniemy, musieliśmy wnet wędrować na dół po spadzistościach grożących złamaniem karku, lub co najmniej wykręceniem nogi. Znowu na dole, pewni, że one są tu gdzieś w trzcinach nad strumieniem, przekonywaliśmy się ku naszej zgrozie, że napowrót w górę poszły. Przez cały ten czas nie przystanęły ani na chwilę, a żywiąc się podczas drogi zerwanymi liśćmi lub gałązkami, które nieustannie z kory obnażały, niejako chciały nam powiedzieć, że im się spieszy.

Tak pędząc za stadem, strawiliśmy znowu dzień cały. Nadziei dogonienia ich nie było. Słonie pozostały przed nami na tę samą co wczoraj odległość. (Dok. nast.)

[1]) dodo — kij, laska.
[2]) kalanga — gąszcz, gęstwina leśna.

Czartowska skała i dyabelski strzał.

Odkąd zapamiętać mogę, pozostawałem prawie ciągle w nieustannych zapasach z jakimś fatalizmem. Nigdy nie czułem w życiu prawdziwego zadowolenia, nie mogłem zrozumieć właściwego znaczenia wyrazów: „pomyślność, szczęście“ i tp. To, co inni szszęściem nazywali, nie zjawiło się nigdy na drodze mojego żywota, lecz owszem same przeciwności piętrzyły się przedemną.

W ciężkiej walce o byt przechodziłem różne i bardzo przykre koleje, a dziwnem zrządzeniem losu, na stopniach hierarchii społecznej, po których do góry się wspinałem, spotykałem przeważnie samych „szewców“, którzy starali się na wyścigi „szyć mi buty“.

Że tego rodzaju uprzejmości ze strony współzawodników zaliczyć niepodobna do pomyślności, zgodzi się ze mną każdy, komu choć raz w życiu „buty uszyli“. To też nie dziw, że i ja, chcąc się nie dać obuć w tego rodzaju misterne „podszycie“, wytężałem wszystkie me siły. Jakoż wychodziłem po większej części obronną ręką z nastawianych sideł, lecz losu, który mi często płatał psikusy, nie mogłem w żaden sposób opanować i nareszcie, zmęczony ciągłą walką, zobojętniałem na wszystko, tak dalece, iż oprócz zawodowego zajęcia zgoła nic więcej mię nie interesowało.

W takich chwilach obojętnego zwątpienia i przygnębienia duchowego opuszczała mię wszelka energia, wzmagała

się niechęć do życia, tak, że bez namysłu gotów byłem każdej chwili rzucić się w objęcia matki Nirwany. Ale widocznie Opatrzność, nie chcąc ludzkiej zagłady, obdarza ludzi tem lub owem uczuciem, mocą którego przywiązują się do rzeczy ziemskich, i każe im zachowywać życie dopóty, dopóki nić jego przędzy naturalnym porządkiem rzeczy nie zostanie zerwaną...

Otóż i mnie Opatrzność obdarzyła z urodzenia takiem uczuciem... przywiązania do wyżłów. I jestem z tego całkiem zadowolony, bo skoro mam strzelbę w ręku i wyżła przy sobie, to mysl o śmierci ani mi przez głowę nie przejdzie. Na łonie przyrody, podziwiając jej majestat, doznaję tak błogiego ukojenia, że chciałbym żyć bez końca, i niczego więcej nie pragnę, jak tylko, aby mi suchedni pod względem polowania nigdy w udziale nie przypadły. Choć niestety! suszyłem i pod tym względem i suszę jeszcze nieraz, jak anachoreta.

W roku 1880 przeniosłem się na mieszkanie do Winnik. Nie znając nikogo z okolicznych myśliwych, rozpocząłem odbywać jak najsurowsze myśliwskie suchedni, oczekując niecierpliwie na sposobność okazania pociągu do szlachetnego zawodu łowieckiego. Niestety, ani rusz! Wszystkie polowania na obszarach okolicznych gmin były wydzierżawione, a myśliwi mający prawo polowania, nie chcieli jakoś zwracać uwagi na okoliczność, że wyżeł chodził ciągle za moją nogą, i zachowywali w obec mnie pewną rezerwę, najprawdopodobniej z przyczyny, iż któremuś z moich fałszywych przyjaciół udało sie „uszyć mi buty“. Nie było zatem żadnej rady i trzeba było te „buty“, jeżeli nie całkiem schodzić, to przynajmniej jakiś czas nosić.

Rozumie się samo przez się, że w takich warunkach dobry humor musiał pójść „na psy“, a miejsce zajęły nuda i rozpacz.

Dubelty przyciągnęły, podloty zaczynały już latać — kszyki wszędzie na błotach zapadały—a ja strzelby z kołka nie zdejmowałem. Nareszcie p. R., zarządzca lasów, należących do Winnik, zaprosił mnie na polowanie na dubelty, choć co prawda dopiero wtedy, gdy już prawie wszystkie wyniosły się gdzieś nad brzegi Nilu.

Nie byłem pewny, czy to zaproszenie nastąpiło z afektu ku mojej osobie, czy też z chęci zobaczenia w polu ułożenia mojego wyżła, o którym słyszał rzeczy, graniczące niemal z nieprawdopodobieństwem — zawsze byłem mu bardzo wdzięczny za zaproszenie. A skoro p. R. przyjrzał mi się z bliska i zyskał przekonanie, że jestem dość dobrym materyałem na myśliwego, przyrzekł mi, że i na polowania do kniei zaprosić mnie nie omieszka.

Ach, lecz na polowania kniejowe trzeba było czekać jeszcze parę miesięcy, a co tymczasem robić? Ile razy przechodziłem ścieżkami przez pola i łąki, wyżeł się niepokoił i aż skomlał z niecierpliwości, lub idąc za nogą, wystawiał wprost ze ścieżki przepiórki i chruściele...

W jednej z takich nader przykrych chwil przypomniałem sobie, że o milę od Winnik, w Kamienopolu, rezyduje sławny myśliwy ś. p. Aleksander Ubysz, i udałem się bez namysłu do Kamienopola. Przedstawiwszy się ś. p. Ubyszowi, opisałem mu moje pożałowania godne położenie. Przyjął mnie nadspodziewanie uprzejmie i bardzo mnie żałował, choć sam będąc cierpiący na nogi, był jeszcze więcej pożałowania godny. Wreszcie, unosząc się nad pokojową tresurą mojego wyżła, który mi wszędzie towarzyszył, zaprosił mnie na śniadanie i tak opowiadał:

— Jak pan widzisz, spotkało mnie nieszczęście; chodzić już nie mogę i poluję tylko z chartami, przyczem zdarzy mi się czasem palnąć z konia do zająca w kotlinie. Ale strzelba na błotach i w kniei już nie dla mnie! Niegdyś, przebywając w Bełzkiem, przenosiłem polowanie na ptactwo błotne nad wszystkie inne polowania, a dziś prawie rad jestem, że ono na moich pagórkowatych łanach nie gości. Było tu niedaleko stadko kuropatw, ale gdzieś się wyniosło, więc tylko gdzieniegdzie odezwie się przepiórka lub derkacz i tyle wszystkiego. Jeżeli pan masz chęć polować na nie, to próbuj pan sam, bo ja jak pan widzisz nie jestem w stanie panu towarzyszyć.

— W takich warunkach — odparłem — nie mogę w żaden sposób korzystać z propozycyi, gdyż jestem pewny, że panu jako myśliwemu, który niegdyś z zamiłowaniem na ptactwo polował, musiałyby strzały w polu sprawiać tylko przykrość.

— Eh! niech pan tak nie sądzi — rzekł, ale w głosie jego czuć było wzruszenie.

Spostrzegłszy to, pożegnałem go spiesznie i odjechałem.

Wracając do domu i rozglądając się po szerokich łanach Podborzec i Winnik, narzekałem w myśli na mój los „garbaty“ i nie mogłem się powstrzymać od skargi: „O święty Hubercie! Chyba ty sam nie polowałeś nigdy na ptactwo, kiedy mi każesz znosić męki Tantala, nie ulitujesz się nademną i nie natchniesz kogo, aby mnie zaprosił, choćby tylko na przepiórki“.

Widocznie św. Hubert wysłuchał mojej skargi, gdyż zaraz na drugi dzień, udawszy się w interesie obowiązkowym do wsi Czyszek, tuż pod Winnikami, czułem w sobie większą otuchę. Z powrotem do domu, przechodząc przez groblę niewielkiego stawku pod Czyszkami, spostrzegłem kilka sztuk cyranek, żerujących pod lepiechem w oddaleniu najwyżej 30 do 40 kroków od grobli. Stanąłem i przypatrywałem się zwinnym koziołkom kaczek, które i mojego wyżła wprawiały w nerwowe drzenie.

Gdym tak stał zamyślony i zapatrzony w to dla każdego myśliwego przepiękne widowisko, wyrzekł ktoś cichym głosem tuż poza mną:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Na wieki — odpowiedziałem, i obróciwszy się spostrzegłem czarno ubranego zakonnika, braciszka, należącego do reguły św. Franciszka, który mnie zagadnął bez ceremonii:

— Zapewne pan lubisz polować, kiedy się przypatrujesz z takim zajęciem dzikim kaczkom.

— A tak — odparłem krótko, z pewną niechęcią, że mi przerwał dalsze przypatrywanie się kaczusiom.

Braciszek nietylko że się nie zraził tonem mojej odpowiedzi, lecz przeciwnie, będąc zapewne mniemania, że mi język rozwiąże, gdy wprzód powie kim jest, ciągnął dalej:

— Ja jestem prokuratorem konwentu OO. Franciszkanów i mieszkam tu w Czyszkach, jako administrator folwarku. A pan zapewne z Winnik?

— Tak jest! — odrzekłem, i przedstawiłem mu się wzajemnie.

— Skoro pan mieszka w Winnikach — mówił dalej zakonnik—to czemu pan nie poluje tutaj? Już parę razy widziałem pana w Czyszkach, ale jeszcze ani razu ze strzelbą.

— A jakże mogę polować na obcym gruncie? — odpowiedziałem — skoro prawo polowania do mnie nie należy? Chyba na to — dodałem śmiejąc się — aby mnie ksiądz prokurator kazał schować do kozy...

— O, niech się pan nie obawia — rzekł zakonnik z dobrotliwym uśmiechem — Zaręczam, że tego nie zrobię, ale

skoro pan już taki skrupulatny, to dam panu radę. Niech się pan uda do księdza prowincyała we Lwowie, niech mu pan tylko powie, że szkoda, aby dary boże pozostawały całkiem bez pożytku dla ludzi — a on panu zaraz da pozwolenie do polowania wszędzie, gdzie pan zechcesz.

Przyznam się otwarcie, że słowa braciszka spływały mi do duszy jak cudowny balsam — sam braciszek wydał mi się otoczony aureolą światła i podejrzywałem w duszy, czy przypadkiem sam św. Hubert nie przybrał postaci Franciszkanina. Wynurzyłem tedy zakonnikowi najszczersze podziękowanie i uczyniłem jak mi poradził.

Już tedy nazajutrz, po ustnem przedstawieniu mej prośby ks. prowincyałowi Franciszkanów we Lwowie, otrzymałem na piśmie pozwolenie polowania na polach i w lesie do Czyszek należących, pod warunkiem wszakże, abym oddawał połowę ubitej zwierzyny dla klasztoru na ręce prokuratora w Czyszkach.

Mając już w ręku ten dokument, uradowałem się tak, jakgdyby mi OO. Franciszkanie całą wieś Czyszki na własność zapisali. Zapewniłem ks. prowincyała, że skoro w Czyszkach jest dość ptactwa, to klasztor od tej pory nie będzie miał potrzeby uskarżać się na niedostatek zwierzyny i opuściłem rozpromieniony furtę klasztorną.

Wyżeł, spostrzegłszy mój dobry humor, podskoczył i zaczął radośnie szczekać.

— No, no, stary, bądź spokojny! Od jutra rozpocznie się dla nas weselsze życie — pocieszałem go, a wyżeł, jakgdyby zrozumiał moje słowa, zaczął jeszcze śmielej podskakiwać i nakoniec, z nadmiaru radości, urządził sobie, niby na arenie cyrkowej, szaloną gonitwą naokoło mej osoby.

Rzeczywiście nazajutrz wybrałem się do Czyszek ze strzelbą i przerzedziłem nieco szeregi chruścieli, których tam owego roku była wielka ilość. Później zaś ubiłem trochę przepiórek, cyranek i kszyków, ale żadnej kuropatwy, bo ich tam nie było.

Przy tej sposobności zaglądałem do braciszka prokuratora, który mnie zawsze ugaszczał kwaśnem mlekiem. Wychylając szklankę po szklance tego bezwątpienia zdrowego napoju, doprowadziliśmy w końcu do tego, żeśmy we dwójkę w przeciągu pół godziny garncowy „hładuszczyk“ wypróżniali. Palmę pierwszeństwa w owem wypróżnianiu muszę wszakże po słuszności oddać braciszkowi.

W takich warunkach, przy ciągłem zajęciu zawodowem i rozrywce na polowaniu, minęło lato jak batem trzasł. Przyszła wreszcie jesień, żniwa, a dla wyżła nadszedł znowu dłuższy post.

* * *

Pewnego dnia — o ile sobie przypominam w grudniu, gdyż na świecie było już sporo śniegu i mróz czasem dobrze pociskał — siedziałem w domu przy pisaniu i byłem tak zajęty, iż nie zwróciłem nawet uwagi, że ktoś wszedł do izby. Dopiero słowa „Padam do nóg!“ przerwały mi dalszy tok myśli i zniewoliły, żem się obejrzał. Przedemną stał mężczyzna już dobrze szpakowaty, ale rześki i rumiany na twarzy. W lewej ręce trzymał futrzaną czapkę, prawa była uzbrojona ogromną lagą, której sęki wskazywały, że niedawno była jeszcze w pełni życia roślinnego. Stojąc tak przez chwilę z miną jowialnie uśmiechniętą, nie mówił nic, tylko się przypatrywał mojemu wyżłowi, który go obwąchiwał. Widząc jednak, że ja się nie odzywam, rzekł:

— Jestem K. leśniczy z Lisienic. Słyszałem, że pan także myśliwy, więc przyszedłem prosić jutro na polowanie.

Usłyszawszy magiczne słowo „polowanie“, odbiłem się od krzesła jak gumelastyczna piłka i podając panu K. obie ręce na powitanie, prosiłem go siadać.

— Ale niech pan sobie nie wyobraża — ciągnął pan K. dalej, siadając na podsuniętem mu krześle — że u mnie odbywają się wielkie polowania. Ja poluję tylko wtedy, gdy potrzeba zwierzyny do klasztoru, bo zapewne pan wie, że Lisienice należą do klasztoru PP. Benedyktynek. Zresztą nie ma właściwie na co urządzać wielkich polowań, bo zwierzyny nie wiele. Niegdyś było więcej, ale odkąd poprowadzili kolej popod Lisienice i wojsko zaczęło odbywać prawie ciągle ćwiczenia na polach i w lasach, wyniosła się zwierzyna do sąsiadów, a ta, co została, jest tak przestraszona, iż ledwie wyruszy z legowiska, już ucieka, jakby chciała ze skóry wyskoczyć.

— Ale i ja coś słyszałem — rzekłem śmiejąc się — Mówiono mi, że pan grozi sforami, gdy kto z myśliwych spudłuje.

— Wprawdzie bardzo mnie to gniewa — odparł pospiesznie pan K. — jeżeli strzelcy chybiają, ale sforami nie straszę. Ot, złośliwość ludzka nic więcej! Gryzie mnie tu i owdzie jak czysta terpentyna. Raz tylko, raz jedyny wspomniałem o sforach jednemu ze strzelców na polowaniu u mnie, ale nie za to, że chybił, tylko za to, że trafił to, czego nie powinien.

— Aha! rozumiem — wtrąciłem — zapewne strzelił do sarny.

— Ba! gdyby do sarny, to jeszcze pół biedy, bo mięso by się zjadło — mówił pan K. — ale to była zwierzyna, którejby nawet ten, co ją zabił, pewnie jeść nie chciał. Ot, miałem ładnego, siwego pincza, którego dzieci bardzo lubiały i zawiązały mu na szyi czerwoną wstążeczkę. Gdzieś on się do nas przyplątał na polowaniu, lecz go i wstążeczka nie uratowała. Pokazał się w miocie i zaraz jeden ze strzelców zmierzył się do niego, a choć krzyczałem: „to mój piesek!“, zdublował i ubił psa na miejscu. Wtedy porwała mnie taka pasya, że nie mogłem się powstrzymać i coś tam o sforach bąknąłem.

— Pojmuję gniew pański i rozumiem, że teraz wybrednym być musisz w doborze myśliwych, boć pod Lwowem o Sontagsjegerów nie trudno. Ale racz mi pan naznaczyć punkt zborny do jutrzejszego polowania.

— Zaczniemy od „Czartowskiej skały“ — rzekł — w tym miocie zwyczajnie bywa bodaj jeden zając. Spodziewam się, że pan musi znać tę skałę, bo często i ze Lwowa przychodzą ją oglądać. Ale niech pan przyjdzie raczej do mnie do domu, bo każę brać właśnie popod skałę, to lepiej, że tam przedtem nikt nie będzie.

— O, znam, znam tę skałę, wiszącą prawie w powietrzu nakształt poddasza i spojoną tylko z jednej strony z resztą skał — rzekłem — a nawet słyszałem, skąd pochodzi jej nazwa. Okoliczny lud opowiada sobie, że dyabeł, chcąc zawalić mury jakiegoś nowo budującego się kościoła, niósł tę ogromnę bryłę gdzieś z dalekich gór, lecz wtem kur zapiał i dyabeł skałę upuścił, a sam zamienił się w maź, z której potem miał powstać jedyny w całym kraju gatunek jadowitych żmij.

— Słyszałem i ja podobną gadkę, rzekł pan K. — a wiem tylko tyle, że odkąd przybyłem w te strony, wszyscy tę skałę nazywają „Czartowską skałą“, więc i ja ją tak nazywam. Lecz, ja tu gadu, gadu, i zapomniałem, że mam jeszcze zaprosić na polowanie naczelnika sądu. Więc padam do nóg, bo muszę spieszyć, aby go zastać jeszcze w kancelaryi.

Po odejściu gościa sporządziłem przedewszystkiem ładunki i przygotowałem strzelbę, a nie zapytawszy pana K., o której godzinie rozpocznie się polowanie, wstałem nazajutrz ze świtem i wyruszyłem z domu, tak, iż o godzinie 8-mej rano byłem już koło domu pana K. Zastałem go na dworze musztrującego naganiaczów słowami: „kota! kota kot ha! kotatata!“

Jak tylko mnie zoczył, podszedł zaraz ku mnie i zawołał:

— A! to mnie cieszy! Widać, że z pana dobry myśliwy, kiedy pan tak rano przybywa. Proszę do pokoju! — Nagle spostrzegłszy mego wyżła odskoczył odemnie i wskazując palcem na psa, zapytał:

— A to co? Pan z wyżłem chodzi do kniei?

— Niech się pan nie obawia — rzekłem — wyżeł nie pójdzie od mojej nogi, chociażby mu zając przed nosem przebiegał.

— A skoro tak, to dobrze — odrzekł K. — Tymczasem chodźmy do pokoju, bo zdaje mi się, że będziemy musieli poczekać jeszcze z pół godziny, nim reszta myśliwych przybędzie.

Niedługośmy czekali. Pojawił się wkrótce pobereżnik donosząc, że reszta myśliwych już przybyła. Udaliśmy się tedy do kniei. Po drodze prosiłem pana K., aby był łaskaw dać mi stanowisko na skale, gdyż mając w pamięci zastrzelonego pieska, obawiałem się, aby który z myśliwych, zamiast do zająca, nie trzasnął w moją siwą czapkę. K. zgodził się chętnie na moją prośbę mówiąc:

— I owszem, ja sam myślałem postawić pana na górze, bo tam się tylko flankuje i mało miejsca do strzału, więc potrzeba się bardzo szybko składać, co pan może potrafi, skoro pan strzela do ptactwa.

— Nie wiem, czy potrafię, ale będę się starał — odrzekłem skromnie.

— Więc niech pan idzie dalej i stanie tam, na szpicu, nieleko kamieniołomu — rzekł K. wskazując mi równocześnie którędy iść i gdzie mam stanąć.

Poszedłem spiesznie we wskazanym kierunku. K. pozostał na drożynie leśnej i zaczął rozstawiać resztę myśliwych. Zdążywszy na górę, poszedłem jeszcze kilkadziesiąt kroków wzdłuż skał i obrawszy stanowisko, skąd dla reszty myśliwych byłem niewidzialny, zacząłem się rozglądać, którędy mogę mieć strzał najdogodniejszy. Stojąc tak już chwilę, zobaczyłem zająca, idącego wprost ku mnie a widząc, że z miejsca, gdzie stałem, strzał jest prawie niemożliwy, podbiegłem kilka kroków dalej. Lecz, o zgrozo! stając już do strzału, wyśliznąłem się, upadłem i w siedzącej postawie zacząłem się zesuwać na dół... Wyżeł w takich wypadkach dawał mi już nieraz pomoc, więc zawołałem nań: Trzymaj! Niestety, nastąpiło nieporozumienie. Pies zrozumiał, iż ma zająca przytrzymać, więc pomknął jak strzała, wprost ku zającowi. Krew uderzyła mi do głowy. Wstyd i obawa, że wyżeł zapędzi zająca między myśliwych i którybądź z nich, strzelając do zająca na sztych, może i wyżła najniewinniej zabić lub postrzelić, ogarnęły mię do tego stopnia, że byłem w rozpaczy. Dlatego, zsuwając się ciągle na dół, skorzystałem jeszcze z jednego mgnienia oka, i w chwili, gdy zając zwrócił się na połeć, przyłożyłem strzelbę do twarzy i strzeliłem. Po strzale upadłem całkiem na wznak i w tej pozycyi zesunąłem się aż na dół, trzymając tylko strzelbę, wzniesioną do góry, poczem nie widziałem już nic, co się dalej działo.

Zaledwie się podniosłem na nogi i wyprostowawszy członki, zabierałem się do otrzepywania śniegu, stał już wyżeł koło mnie, trzymając w zębach ubitego zająca, który, jak się później okazało, dobrze na połeć trafiony, padł na miejscu. Uradowany niezmiernie, że wypadek skończył się tak szczęśliwie, odebrałem od psa zająca i podążyłem w kierunku stanowisk reszty myśliwych. Zoczywszy pana K. i zbliżywszy się do niego, rzuciłem zająca na śnieg i rzekłem:

— A niech go dyabli wezmą! Przez tego zająca omal nie skręciłem karku! — I opowiedziałem, co mi się przytrafiło.

Wysłuchawszy ze zdziwieniem opowiadania, zbliżył się p. K. i oglądając mnie ze wszystkich stron, zapytał z troskliwością:

— Ależ powiedz pan otwarcie, czy się panu co nie stało? Może się pan gdzie skaleczył?

— Nie, nic mi się nie stało, tylko trochę się potłukłem. Za parę dni zapomnę zupełnie o całym wypadku, ale ten dyabelski strzał, jaki zrobiłem podczas spadania ze skały, pozostanie mi w pamięci aż do śmierci...

Wzięliśmy jeszcze kilka miotów z wynikiem nieszczególnym, gdyż zwierzyny było bardzo mało Nie żałowałem jednak fatygi, tem bardziej, iż cała przygoda nietylko nie pociągnęła za sobą żadnych złych następstw, ale nadto zjednała mi pana K. i usposobiła go tak przychylnie dla mnie, że odtąd nie urządzał żadnego polowania bezemnie.

Seweryn Kisielewski.

Z obcych światów.

Bizoń i ren w północnej Kanadzie.

Postradawszy pierwotne kolonie swe w skutek amerykańskich wojen o niepodległość, utrzymała się Anglia na całej północy Ameryki, objąwszy także w posiadanie pierwotne osady francuskie. Wszystko zatem, co od Stanów północnej Ameryki ku północnemu biegunowi sięga, uważa Anglia za swoje. Wartość ekonomiczną ma tam właściwie tylko ta część stałego lądu, którą jeszcze lasy okrywają i gdzie do pewnego stopnia ziemia jest uprawianą; arktyczny archipelag wysp, przeważną część roku śniegami i lodem okryty, nie ma już znaczenia, jest bowiem i dla człowieka i dla zwierza zbyt niegościnny.

Mieszkańcy północnej Kanady należą do pokoleń indyjskich, lecz ku wybrzeżom morza podbiegunowego są już osady Eskimosów, którzy się z Indyanami nie znoszą. Im bardziej ku północy i północnemu zachodowi, tem rzadszą jest ludność, a mianowicie osiedleńców europejskich, którzy rozrzuceni są po fortach i faktoryach, założonych jeszcze przez potężne Towarzystwo zatoki Hudsońskiej.

Łańcuch gór niewysokich, który w kierunku od północnego zachodu ku wschodowi północną Kanadę przerzyna i aż na wybrzeżach Labrodoru się kończy, oddziela obszar wielkich kanadyjskich jezior od arktycznej równiny skali-

stej, zasianej podbiegunowemi jeziorami i rzekami. Olbrzymie jeziora Atabaska, Niewolnicze i Niedźwiedzie zasilają wodami swemi wielką rzekę Rybią i rzekę Mackenzie. Wszystkie rzeki i jeziora stoją tam zresztą w związku ze sobą i łączą się także z systemem jezior kanadyjskich, tak, że w porze letniej, posługując się miejscowemi łodziami z kory brzozowej, można się z jednych do drugich przedostawać. W statnich czasach wymieniano często jezioro Winnipeg, bardziej na południe położone, do którego rzeka Saskaczewan wpada. Wybrzeża tego jeziora są bardzo urodzajne i wabią ku sobie osadników.

Już od dłuższego czasu zajmuje się rząd kanadyjski szczegółowemi badaniami tych mało znanych arktycznych okolic i urządza w tym celu wyprawy przy współudziale ludzi uczonych. W r. 1893 odbyli taką wyprawę bracia Tyrell, udając się na rozległy a nieznany dotąd step arktyczny, t. z. Barren-Grounds, rozciągający się na północ od jeziora Atabaska. Wyniki badania tej dziczy, do której przedtem żaden Europejczyk się nie zapuszczał, są z wielu względów interesujące.

Bracia Tyrell, przybrawszy sobie trzech Irokezów, wybrali się 26. maja 1893 z fortu Edmonton nad Saskaczewanem do Atabaska-Landing, skąd rozpoczęła się właściwa eksploracya. Przyjąwszy jeszcze trzech metysów indyjskich do służby, wyruszyła ekspedycya, złożona teraz z ośmiu osób, na trzech łodziach i po dłuższej podróży wodnej dotarła do leżącego na zachodniem wybrzeżu Atabaski fortu Czippwyn czyli Czippewajan. Jezioro od stepu Barren Grounds dzieli tutaj pas leśny, na 100 mil angielskich szeroki, służący jeszcze za przytułek pokoleniom czerwonoskórnym. Polują one tutaj na rena dzikiego, zwanego przez nich „karibu“. Na krańcu puszcz leśnych leży drugie mniejsze jezioro Block. Przy tem jeziorze stanęła nasza ekspedycya w początkach lipca, i stąd wstąpiła na właściwe Barren-Grounds.

W puszczach przytykających do jezior Atabaski i Niewolniczego przebywa jeszcze **bizoń** leśny w znacznej liczbie, chociaż spostrzegają i tu stałe zmniejszanie się jego stad. Północną część Barren-Grounds zamieszkuje wszakże wół piżmowy, który w miesiącach zimowych ku Atabasce, na wschód od jeziora się ściąga. Pp. Tyrell i ich towarzysze nie napotkali jednak żadnego wołu piżmowego.

Wodnego i błotnego ptactwa, które tu w ciągu krótkiego lata na rzekach, jeziorach i nad niemi w niezmiernej ilości się gromadzi, nie było już podówczas, bo odleciało ku południowi; od czasu do czasu natrafiana **pardwa śnieżna** (*Lagopus mutus*) reprezentowała jedynie ptactwo owych stref arktycznych.

Barren-Grounds są w ogóle stepem bezleśnym, poprzerywanym pasmami niskich wzgórzy. W krótkiej porze letniej okrywa go bujna trawa, zdobna rozmaitem kwieciem łąkowem. Klimat wszakże jest za surowy, aby myśleć o uprawie ziemi.

Na stepie natrafili nasi podróżnicy na niezliczone stadka **renów**. Nie płoszyły się one na widok ludzi, tak, że można je było łatwo podchodzić. Na dowód tego zdjęli kilka fotografij poszczególnych sztuk i całych stad renów. Mięsem renów żywiła się też ekspedycya w ciągu całej podróży, lecz, że nie było z czego ognia rozniecić, więc musieli podróżnicy jeść mięso na pół surowe, lub suszyć je i żuć.

Barren-Grounds są zupełnie nagim stepem, nigdzie nie masz ani drzewka, ani krzewu; nie rośnie tam nawet wierzbina karłowa, która jeszcze dalej ku północy na wybrzeżach wielkiej rzeki Rybiej się pojawia.

Reny, w miarę zmieniających się pór roku, ciągną tu albo na północ, co bywa na wiosnę, gdy step natychmiast po stajaniu śniegów bujnie się zazieleni, albo na południe, co następuje w porze jesiennej. Wtedy pojedyncze stadka skupiają się w wielkie stada i ciągną na południe do głębi puszcz, gdzie porosty drzewne i mchy stanowią ich żywność w miesiącach zimowych. Indyanie wyczekują ich wtedy na zachodnich krańcach stepu, podobnie jak i Eskimosi na północy w ciągu lata, i czynią w stadach niezmierne zniszczenia. Okrążają zazwyczaj stado i pędząc je albo ku zamkniętym wąwozom, albo na skały wiszące nad przepaściami wybijają mnóstwo zwierząt bez litości. Z hekatomb takich mała tylko część służy na zaspokojenie potrzeb mięsa i skóry, reszta pozostaje nie zużyta jako dowód dzikiej i bezrozumnej żądzy niszczenia. Przed dwoma laty miało podobno i dwóch Europejczyków brać udział w jatkach tego rodzaju na wybrzeżach jeziora Niewolniczego. To dało powód do poruszenia sprawy przed rządem kanadyjskim i domagania się, ażeby rząd wydał przepisy łowieckie, biorące w ochronę reny na tych obszarach stepowych. Gdyby nawet przepisy takie nie były w stanie tępieniu renów całkowicie zapobiedz, zawsze mogłyby dać możność poskramiania dzikich hekatomb i karania winnych.

Wszystkie rzeki i jeziora znajdywali podróżnicy przepełnione rybami. Pstrągi (czy łososie?) do 25 funtów wagi i biała ryba kanadyjska w sztukach po 10 funtów, bywały rzeczą codzienną.

W ciągu sierpnia dotarli bracia Tyrrel do jeziora Duhant, leżącego na północnych krańcach lądu. Powierzchnia jeziora była już lodem ścięta. Stąd ciągną się potoki i pomniejsze jeziorka ku wschodowi do Chesterfield Julet nad zatoką Hudsońską, gdzie ekspedycya, spełniwszy swe zadanie d. 10. września stanęła. Nigdy przedtem, ani biali trapperzy ani Indyanie, nie dotarli byli rzekami i jeziorami tak daleko na północ.

Podróżnicy nasi dostali się w październiku do fortu Churchill, który jest głównym portem zatoki Hudsońskiej, i gdzie przez cały rok stale około 20-tu białych przebywa. Stąd wybrawszy się d. 1. listopada, przebyli na sleterach (ski) 600 mil angielskich po śniegu, i dostali się d. 1. stycznia 1894 do Selkirk nad jeziorem Winnipeg. Tu dociera już kolej żelazna, której do dalszej podróży powrotnej użyli.

KORESPONDENCYE.

Podkamień, w lipcu 1895.

(Klęska sarn — Rozmnoża kuropatw.)

Grom straszny, niespodziewany spadł w tym roku na nasze łowiectwo. Po mało śnieżnej i względnie nie zbyt ostrej zimie, w lutym nieprzebrane zaspy śnieżne okryły nasze pola i knieje. Wskutek tego, w okolicy mojej przynajmniej, stan sarn uważać można prawie za wygubiony. Przestraszające są cyfry nieszczęśliwych ofiar, na wiosnę znajdywanych przez straż leśną, a cyfry te z pewnością muszą się mieć w minimalnym stosunku do rzeczywistości. I tak po-

bieżnie tylko wspomnę, iż w rewirze Chodorowskim, słynnym ze znakomitego zwierzostanu, znaleziono sztuk wyżej 100 nieżywych. W Psarach, w małej kniei objezdnej, w której się sarny niegdyś roiły, narachowano około 50 ofiar, i tak szło dalej w tym stosunku w całej okolicy. Posiadając tu znaczniejsze rewiry, w których udało mi się w ostatnich latach zwierzostan do lepszego doprowadzić rezultatu, dziś zrozpaczony, pomimo tylu lat pracy, pomimo wysileń, stawiam sobie pytanie: „I cóż dalej będzie?"

O cyfrach ofiar znalezionych w moich rewirach wcale nie wspominam. Zbyt boleśne byłoby to wspomnienie dla starego myśliwca, który tyle ofiar, tyle trudu od lat tylu pzzykłada dla podniesienia zwierzostanu w swoich rewirach.

Ale cóż pomogą wszelkie wysilenia w obec nieprzewidzianych klęsk temperatury, klęsk klimatu?

Jeśli są okolice w kraju, których ta katastrofa nie dotknęła, to im z serca winszuję i proszę ich, by nad wnioskiem moim przeszli do porządku dziennego. Ale moich najbliższych sąsiadów, a o ile mi się zdaje wszystkich prawie posiadaczy rewirów wschodniej części naszego kraju, (która tą klęską przeważnie jest dotkniętą) proszę, by raczyli dać ucha prośbie mojej, a choćby to stało może chwilowo z ich zapałem myśliwskim w niezgodzie, raczyli słowom doświadczonego łowca dać ucha, i ten wniosek mój rozważyli. Krótko powiem. Sądzę, iż w obec zagrożonej sarnom katastrofy, każdy prawdziwy myśliwy powinienby na ten rok polowanie na rogacze zaniechać, (bo zauważyć muszę, iż wszędzie znajdowano między ofiarami przeważnie młode rogaczyki). Niechby zato każdy podczas jesiennych polowań odbijał się przeważnie na lisach, zającach i słonkach. Wskutek elementarnych katastrof, powinniśmy uważać w naszej okolicy stan sarn za poważnie zagrożony, a więc jest naszym obowiązkiem, chronić je od zupełnej zagłady.

Daj Boże, ażeby te zapatrywania moje zbyt pessymistycznemi się okazały, ale przestrzegam i proszę: polujmy w tym roku w jesieni tylko na lisy zające, słonki i jarząbki. Kto w swoich rewirach ma i dziki, niech się za nimi ugania, ale niech rogacza oszczędza. Na jesiennych polowaniach jeśli padnie rogacz z pięknemi rogami, na tem knieja szwanku nie poniesie, ale nie strzelajmy już w tym roku na śniegu rogaczy. Doświadczenie nas uczy bowiem, jak wielka ilość rogaczyków młodych pada na takich polowaniach. Omyłki tego rodzaju są nieuniknione, i nie zawsze można o nie myśliwca obwiniać, ale rewir zawsze na tem wielką szkodę ponosi.

Widzę już ilość grotów, które na ten mój wniosek z rąk niedzielnych strzelaczy w moją pierś wymierzoną będzie, zniosę to w pokorze, w tem silnem przeświadczeniu, iż spełniłem moją powinność.

Ciężki ten cios, który w tym roku dotknął myśliwstwo nasze, nasuwa mi myśl drugą, z którą radbym się podzielić z czytelnikami „Łowca", zasiągnąć ich światłej rady i prosić o poparcie.

Podobnie jak stan sarn, zdziesiątkowany wskutek klęsk elementarnych w tym roku we wschodniej części kraju, tak też i kuropatwy od lat kilku zupełną tu grożą zagładą. Na to jednak znalazłby się może sposób łatwy, ale siły jednostek są tu niewystarczające. Święcie w to wierzę, iż kuropatwy dałyby się u nas rozmnożyć do tych samych rozmiarów, w jakich je dziś widzimy w Królestwie Polskiem, w zachodniej Galicyi i w Poznańskiem, gdyby i u nas właściciele tak większych jak i mniejszych obszarów łowieckich zająć się chcieli ich chowem tak starannie i racyonalnie, jak to czynią nasi sąsiedzi. Tylokrotnie pisały już o tem fachowe czasopisma, powtarzając aż do znudzenia znane frazesy o strzeżeniu przed kłusownictwem, tępieniu drapieżników, zakładaniu remiz itd. itd. Te frazesy umiemy już na pamięć, ale one, niestety, niczego nas nie nauczą i do niczego nie doprowadzą.

Nie idzie tu u nas o ochronę zwierzyny, bo jej niema, ale o możliwe zaprowadzenie takowej. Miejmy ją najprzód, a już potem pomyślimy o jej obronie. Miejmy najprzód gościa, a już jakoś pomyślimy o wieczerzy dla niego. Ponieważ jednak tego gościa dotąd jeszcze nie mamy, ośmielam się tu podać wniosek dążący do tego, byśmy do niego kiedyś przyszli.

Zdaniem jest mojem, iż Wydział Towarzystwa łowieckiego prawdziwą oddałby usługę krajowi, gdyby raczył się zająć tą sprawą. Nikomu nie przyszłoby łatwiej jak jemu, zawiązać stosunki z jakimiś domami handlowymi w Czechach, w Morawii, na Szląsku, gdzie kuropatwy stały się przedmiotem handlu, w tak znakomitych rozmiarach, że je tysiącami nawet do Anglii i do Francyi wysyłają.

We wszystkich powiatach wschodniej Galicyi nie wątpię, iż wielka znalazłaby się ilość właścicieli większych i mniejszych myśliwskich obszarów, którzyby co roku na wiosnę pewną ilość kuropatw do rozpłodu, po możliwie nie zbyt wysokich cenach, chętnie sprowadzali. Każdy powiat — o ile mi wiadomo — ma swego Delegata Towarzystwa łowieckiego. Taki więc Delegat mógłby być pośrednikiem pomiędzy Towarzystwem łowieckiem, a owym właścicielem większych czy też mniejszych obszarów łowieckich, którzyby dla hodowli na wiosnę nabyć pragnęli kuropatwy. Towarzystwo łowieckie na żadne nie byłoby narażone straty, gdyż tylko w miarę nadchodzących obstalunków i nadsyłanych zaliczek uskuteczniałoby swoje zamówienia. Owe zagraniczne domy handlowe, mając zapewniony odbiór po wiele niższych cenach za zabitą zwierzynę, mogłyby nam żywą za nieco wyższą, ale względnie przystępną dostarczyć.*)

Przekonany jestem, iż gdyby szanowny Wydział Towarzystwa łowieckiego raczył się tą sprawą zająć i miał zapewniony odbyt na wiosnę nawet kilku tysięcy kuropatw po możliwie przystępnej cenie, rozchwytaliby je z pewnością właściciele większych i mniejszych myśliwskich obszarów. Z drugiej strony nie wątpię, iż mając zachętę taką i pewność odbioru, znaleźliby się z czasem i u nas hodowcy, którzyby sprowadzali kuropatwie jaja z zagranicy i zajmowali się hodowlą tego ptactwa, która to hodowla w razie zapewnionego odbioru, niezłe mogłamy im przynieść korzyści.

Wspomniałem już, iż wysilenia jednostek do żadnego nie prowadzą celu, ale przekonany jestem, iż kilku sąsiadów zjednoczonemi siłami zaprowadzając równocześnie w swej okolicy kuropatwy na wiosnę i hodując je w sposób racyonalny, rzecz do pożądanego rezultatu doprowadzić mogą. Dlaczegożby to stać się nie mogło z czasem w całym kraju?

Publicznie myśl tę rzucam, zastrzegając sobie w razie potrzeby dokładniejsze jej określenie. Mam nadzieję, że może ktoś z szanownych Czytelników „Łowca" raczy ją podnieść i cenne da wskazówki w tej mierze.

L. Starzeński.

*) Przyklaskujemy z całego serca myśli, poruszonej tu przez wielce Szanownego Korespondenta, zajmującego tak wybitne stanowisko w polskim świecie myśliwskim. Redakcya „Łowca" podejmuje się chętnie przyjmowania zgłoszeń, względnie zamówień na żywe kuropatwy i jaja kuropatwie. Na

razie chodzi o sprawdzenie, o ile projekt powyższy znajduje poparcie w naszych kołach łowieckich. Gdyby zgłoszenia się z gotowością odbioru kuropatw i jaj kuropatwich były istotnie poważne, nie omieszkalibyśmy wdrożyć rokowań, ażeby myśliwych naszych pod możliwie najkorzystniejszymi warunkami zaopatrzyć w parki rozpłodowe i jaja i przyczynić się do podniesienia tak bardzo podupadłego w kraju naszym zwierzostanu kuropatw. Zwracamy przytem uwagę Szanownych Czytelników na zamieszczony w Nr. 7. „Łowca“ artykuł o hodowli kuropatw, oparty na wskazówkach i doświadczeniach najlepszych hodowców *(Przypisek Redakcyi).*

KRONIKA.

Druk dzieła W. Spausty p. t. „Na tropach“ jest już na ukończeniu. Pojawienie się tego zbioru obrazków przyrodniczo-łowieckich powitane zostało bardzo życzliwie w kołach myśliwskich, a z prawdziwym entuzyazmem donosi o tem *Sylwan.*

„Komuż bo z nas nie znane — pisze bratni nam *Sylwan* — bodaj urywkami, te mistrzowskie wycieczki po tropach, często zimnych, opuszczonych i zupełnie już zatartych, w głębie puszcz leśnych, borów, rojstów i bezbrzeżnych stepów ojczyzny naszej — w dalekie, powietrzne szlaki lotnej zwierzyny, na zdradne tonie oczeretów i grząskie siadła błotnej gawiedzi — na kogo nie uderzyły ognie myśliwskiej gorączki, w czyjej piersi nie zatłukło się ściśnione oczekiwaniem serce, gdy nas, wszystkich pospołu fryców, prowadził przez gąszcze jemu tylko znanej kniei, odsłaniając jej tajemnice i wskazując niewidziane piękności? Same piękno, prawda i poezya spłynęły z pod tego natchnionego pióra na karty jedynego naszego pisma łowieckiego: myśliwy, przyrodnik, leśnik, literat, artysta, każdy, kto potrafi odczuć i zrozumieć piękno, podziwiać wspaniałość nigdy nie zbadanej przyrody, uszanować i ocenić wiedzę, znajduje prawdziwą rozkosz w ich odczytywaniu.“

Jeszcze do końca sierpnia przyjmuje na dzieło Spausty prenumeratę księgarnia Gubrynowicza i Schmidta, oraz Redakcya „Łowca“. Cena prenumeracyjna wynosi tylko 2 zlr. 30 ct. w. a.

Wyścig gołębi pocztowych z Krakowa do Wiednia, urządzony przez austryacko-węgierskie towarzystwo dla chowu drobiu, odbył się dnia 14. lipca. Na wyścig ten przeznaczył cesarz ze swej strony dwie nagrody. O godzinie trzy kwadranse na 6. rano wypuszczono z wojskowej stacyi gołębiej w twierdzy krakowskiej nadesłane z Wiednia do wyścigu gołębie, które poprzednio trzymano dziesięć dni w Krakowie pod zamknięciem. Drogę do Wiednia odbyły gołębie mniej więcej w ośm godzin, dodać trzeba, że właśnie dnia tego wiał bardzo silny wiatr przeciwny, z którym gołębie miały do walczenia. Pierwsze dwie nagrody, dane przez cesarza i piątą otrzymały gołębie naczelnika sekcyi dla chowu drobiu p. Fryderyka Schmidta.

Mężny bocian. Z końcem lipca na Majkowskim Łęgu, w pobliżu szlachtuza pod Kaliszem, pasterz pasący bydło poszczuł psem bociana, chodzącego po polu. Król żab, napadnięty brutalnie przez natarczywego kundysa, w mgnieniu oka wskoczył mu na grzbiet i siedząc jak na koniu, bił skrzydłami i dziobał dotkliwie skowyczącego z bolu napastnika. Bastonada trwała tak długo, aż zaniepokojony pasterz przybył psu na pomoc i rzucił bociana na pole, kukurudzą obsadzone, skąd ptak wydobył się wkrótce i znów po polu przechadzać się zaczął. Poszczuty przez pasterza pies raz jeszcze rzucił się na bociana, który lekcyę poprzednią powtórzył i odleciał.

Jaskółki w teatrze. W Busku, w Królestwie, w miejscowym teatrze jaskółki ulepiły sobie gniazdko tuż koło kurtyny. W czasie wieczornych przedstawień, ptaszki ciekawie spoglądają na widownię i scenę. Dyrekcya teatru pilnie przestrzega, aby gniazdka nie uszkodzono, sądzi bowiem, że tak długo będzie się cieszyła powodzeniem w Busku, dopóki gniazdko jaskółcze całe będzie.

Piękna cena. Na wystawie przemysłowej w Królewcu pomieszczono między innemi parostki kozła szóstaka, mające 35 ctm. wysokości z różami po 18 ctm. w obwodzie i z rozwartością rożków 35 ctm. Są to co prawda rozmiary nadzwyczajne, lecz niezwykłą jest również i postawiona za parostki cena, wynosi bowiem 8000 marek.

Kobieta Nemrod. W Rzymie zwraca na siebie obecnie ogólną uwagę pani Scheibler, córka hr. Pulli, deputowanego do parlamentu włoskiego, osoba niezwykłej urody a nie mająca jeszcze 25 lat. Powróciła ona właśnie do Włoch po długiej podróży odbytej wraz z mężem po Afryce. Celem podróży było polowanie. W Erytrei młode małżeństwo nie wiele mogło upolować, gdyż jenerał Baratieri nie pozwolił im się narażać na drapieżność derwiszów i Abisyńczyków i puszczać się po za Kassalę. Trzeba więc było poszukać innego terenu. Pojechali więc do Mombasa wraz z karawaną, złożoną z 10 tragarzy, 10 żołnierzy, kucharza, trzech służących i tłumaczy. Z Mombasa, po 30 dniach marszu, dostali się do Machaeos, 500 klm. od brzegu morza. Polowania, w których pani Scheibler zawsze brała udział, dały obfite łupy: 22 nosorożców, bawół, 2 hipopotamy, 3 zebry, 10 antylop i struś. Zwierzęta te padły po większej części pod celnymi strzałami dzielnej i pięknej pani Scheibler.

Łosoś w dorzeczu Dniestru. Od kilku lat nie szczędzi krajowe Towarzystwo rybackie trudu i kosztów, aby łososia przesiedlić do Dniestru, przez co przyjąłby się w morzu Czarnem, a z czasem przeniósłby się i do innych rzek czarnomorskich. W tym celu posyła corocznie 20—30 000 sztuk zapłodnionej ikry łososia bałtyckiego do c. k. Zarządu dóbr skarbowych w Bolechowie, który wychowuje narybek i część takowego wpuszcza do Sukielu (dorzecza Dniestru) zaraz po utracie pęcherzyka, część zaś żywi stucznie w stawku przez rok i na wiosnę następnego roku już jako kroczki wpuszcza do Sukielu. C. k. zarządcy dóbr skarbowych w Bolechowie, dawniej p. Karol Hetper, obecnie p. Józef Petri, tudzież leśniczy p. Antoni Kowalewski wspierają Towarzystwo w pracy tej gorliwie i pod ich dozorem wychowuje się narybek do Dniestru przeznaczony. Obecnie wdrożył p. Pietri staranne dochodzenia, czy łosoś pojawia się w dorzeczu Dniestru, i otrzymał dwie zadowalniające odpowiedzi. Pierwsza, z Perehińska, zawiera wiadomość, iż tamże w Łomnicy poławiają się łososie do 2 kg. wagi dochodzące, druga z Balicz stwierdza, iż w połączonych rzekach Sukielu i Świcy, łowią łososie do 50 cm. długości mające. Zarząd dóbr w Bolechowie sprawdził także sam, iż w Sukielu zaczynają pojawiać się łososie

Sprostowanie. W korespondencyi ze Skały w Nr. 5 „Łowca“ zaszły pomyłki drukarskie, które sprostować należy: w ust. 4. za, miast „Trojana“ ma być T r a j a n a , w ust. 19. zamiast „Blüchowa“ ma być Blüchera.

Do numeru dzisiejszego dołączamy ilustrowane ogłoszenie o przedsiębiorstwie rolniczo-handlowem, otwartem świeżo przez znaną firmę praską **Ernesta Bahlsena** w Krakowie.

Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zyblikiewicza 5.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.